Nr. 31 (1075). Warszawa, dnia 21 Lipca (3 Sierpnia) 1901 r. **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

NOWY ZAMACH WE FRANCYI.

Monarchiści we Francyi nie śpią. Ciszę, którąby miała pozór uśpienia, przerywają, jeśli nie głośnemi awanturami, choćby w rodzaju kawalerskiego popisu w Auteuil, to wyzywającemi sprawiedliwość rzeczypospolitej dobrowolnemi zgłoszeniami się po karę za spiskowanie przeciwko niej, jakiem było manifestacyjne zażądanie sądu przez pana margrabiego, hrabiego, czy też vice-hrabiego Lur-Saluces'a. Osobistość ta, jeden z przeżytków, głównie zasilających sztab wojującego, w podjazdowej wojnie, stronnictwa, otrzymawszy od rzeczypospolitej to, czego się dopominała sprawiedliwość—karę banicyi — nie chce z nią gnuśnieć u jakichś wód, w jakim domu gry, w towarzystwie pięknych margrabin z wielkiego świata lub szeleszczących dam z małego, pół- i ćwierć-światka, lecz rwie się namiętnie na wielką scenę dziejową, aby odegrać na niej rolę wskrzesiciela tej formy państwowej, po której rzeczpospolita od upadku Mac-Mahona, z przerwą tylko dwuletnią pod niedołężnym Faurem, stale od lat dwudziestu depce. Są pewne rozpędy i popędy, pewne usposobienia i nałogi, są chuci i temperamenty, które się ukoić nie dadzą czem innem, jak tylko ruchem, choćby automatycznie spełnianym. Według takiego typu zbudowanym automatem wydaje się ten hrabia, vice-hrabia czy markiz, o którym teraz znowu zaczyna być głośno we Francyi.

Pall Mall Gazette odsłania te zamysły, w których Lur-Saluces ma być głównym konduktorem robót podziemnych i naziemnych, spisku właściwego, dążącego do celu i sprzysiężenia, zmowy czy związku, mającego samemi manifestacyami wołać do Francyi republikańskiej: Oto jesteśmy i działamy. Dziennik angielski, niezwykle ruchliwy, niewątpliwie pociągnął za język jednego ze spiskowych, którym braknie głównego warunku do spiskowania: sztuki trzymania języka za zębami. Zbyt wszakże łatwowiernie przyjął za fakta spełnione to, co dopiero jest marzeniem spełnić się mającem. Gdy nieznany gaduła zapewniał, że stronnictwa monarchiczne we Francyi porozumiały się już między sobą, złączyły i związały paktami i ślubami na ustawienie jednego wspólnego tronu i posadzenie na nim jednego wspólnego kandydata— był w swojem prawie: jak zwykle w robotach politycznych wyolbrzymiał, aby większą nadać swemu obozowi siłę i powagę; ale gdy publicysta, mający przecież oczy i mogący patrzeć na Francyę, w to jego zapewnienie uwierzył, prawo kardynalne publicystyki, prawo krytycznego sądu srodze pogwałcił. Orleański książę Filip i bonapartyda książę Napoleon Wiktor nie zrzekli się wzajemnie swych praw jeden na rzecz drugiego, ani też nie myślą ustępować przed trzecim, wprawdzie jeszcze nieznanym kandydatem przyszłości, ale silniejszym od nich: kandydatem stronnictwa narodowców, nacyonalistów. Podniesienie zaś na tarczy bojowej księcia Ludwika, brata księcia Wiktora, w tej chwili jest czynnością czysto idealną marzeń, a nie rąk, nie energii czynnej, istotnie działającej i w życiu zaznaczyć się już zdolnej.

Rzeczywistości niema, ale są zamiary—całkiem nowe, dotychczas od skonu Chamborda obozom monarchicznym Francyi nieznane. Gdyby się złączyć zdołano, zyskanoby i siłę i liczbę i tę powagę, która z całej imprezy usuwa śmieszność. O monarchii myśleć można, ale tylko o jednej; dwie obok siebie w stanie zalążkowym — to raczej choroba, patologia niż działanie i polityka. Trzeci ów kandydat, stawiany dopiero przez przyszłość, jest jedynie dla rzeczypospolitej poważnym. Nie książę Orleański, nie książę Wiktor lub Ludwik, ale Haberty i Dérouledy, Negriery i Merciery zrobiliby monarchię, mogliby ją zrobić, gdyby im rzeczpospolita na robotę pozwoliła. Gdyby się jednak kandydaci teraźniejszości praw swych zrzekli na rzecz trzeciego, lub gdyby jeden drugiemu miejsca ustąpił, wtedy po dokonaniu się psychologicznego i, ogólniej biorąc, wręcz biologicznego procesu — zjednoczenia w samym ludzie *in petto* rządzonym, w obu obozach monarchicznych, ten, ktoby się utrzymał na tronie *in petto*, mógłby wchłonąć w siebie i ową kandydaturę przyszłości i stać się wybrańcem i monarchistów obu autoramentów i nacyonalistów, klerykałów i wszystkich niezadowolonych z rzeczypospolitej łagodnej, z rzeczypospolitej surowej, z zachowawczej czy z radykalnej, z chorej na bladaczkę, czy też ze zdrowej i silnie pięść zaciskającej— z rzeczypospolitej wogóle. Dopiero takie zjednoczenie stałoby się dla Francyi republikańskiej groźnem. Czy są do niego warunki i czy jest wspólne hasło? Zali książę Ludwik posiada i urok nazewnątrz i zdolność wewnątrz, do takiego stopienia wszystkich w jednym ogniu, o jakiem marzy Lur-Saluces, potrzebną?

Zdaje się, że i tym razem skończy się wszystko — na rojeniach. I gdyby chociaż w tych rojeniach była nakazująca szacunek powaga; ale nawet i tego oczekiwać monarchiści nie powinni, jeśli nie chcą mieć nowego rozczarowania. Nie kandydaturami buduje się monarchię, ale monarchizmem, uczuciem monarchicznem w narodzie, w jego większości. To uczucie w Narodzie Francuskim ma dziś trzy ży

wioły: legendę o liliach burbońskich, katolicyzm wojujący i nacyonalizm niespokojny, namiętny. Ale wszystkie te żywioły są tak słabe, że wyrobić uczucia, wytworzyć wielkiego, wspólnego serca, wyobraźni jednem wspólnem widzeniem szczęścia, jasnym obrazem, tęsknotą i rwaniem się rozpalić, ideału duszom dać nie zdołają. Wyższa jakaś natura, głęboka i gorąca, rozumna i żywa — możeby niedobór tej niemocy w pospólstwie monarchizmu wyższością swoją pokryła; ale właśnie, jeżeli gdzie, to w kandydaturach i w sztabach działających widać samą tylko szarzyznę pospolitości. Gdy się zestawi głosy i czyny r. 1873-go z głosami i czynami lat nam najbliższych, dostrzeże się dopiero ogromny upadek idei monarchicznej we Francyi. Traci ona z rokiem każdym żywotność i tylko jeszcze nacyonalizm, który nie z legendy, nie z tradycyi i prawa dawnego, ale z protestantyzmu politycznego, w nieczystem wylągł się gnieździe — może być przeciwnikiem poważnym. Uczciwe przyznanie się Chamborda, że dziś żyć, z ludźmi dzisiejszymi iść już nie zdoła — i odtrącenie korony, którą mu już na głowę kładziono, było jak gdyby abdykacyą samej idei monarchicznej we Francyi. Dziś może być tylko intryga, niema już ideału. Prawo rozwoju, prawo życia— coraz bardziej rozszerza i pogłębia w Narodzie Francuskim podstawy rzeczypospolitej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

S. Maksimow. — „Włóczęga" i prawo włóczęgoskie. — Paszporty byłych skazańców. — Nadużycia w Banku charkowskim. — Duchowieństwo katolickie.

Przed kilku tygodniami (w czerwcu) zmarł w Petersburgu Sergiusz Maksimow, autor znanego czytelnikom *Prawdy* dzieła p. t. „Syberya i ciężkie roboty." Poświęcił on znaczną część swego życia badaniom tej najnieszczęśliwszej warstwy ludzi, wykluczonych ze społeczeństwa i wyzutych z wszelkich jego praw. Maksimow urodził się 1831 r. na głębokiej wsi w g. Kostromskiej. Od dzieciństwa celował w naukach, ale gorący temperament nie pozwolił mu zdobyć tego odznaczenia, które jest szczytem marzeń młodzieży, dążącej do karyery: złotego medalu. Od lat pacholęcych miał ciągłą i bliską styczność z ludem, dzięki czemu nauczył się zaglądać do jego duszy i szukać w każdej, nawet spaczonej jednostce człowieka. Po skończeniu nauk szkolnych Maksimow wstąpił do Akademii medyczno-chirurgicznej, ale go bardziej pociągała literatura, więc całkowicie poświęcił się temu zawodowi. W r. 1855 rozpoczął długi szereg podróży etnograficznych.

Młody ludowiec pieszo obszedł gubernie: Włodzimierską, Niższonowogrodzką i Wiacką, wrażenia zaś z tej podróży wyniesione dały mu materyał do prac ciekawych, jak: „Dorożkarze," „Szewcy," „Malarz," „Czarownik," „Wotjakowie" itd.

Podczas znanej ekspedycyi naukowej pisarzy celem wszechstronnego zbadania ludu, Maksimow znalazł się w towarzystwie takich ludzi, jak Gonczarow, Pisiemskij, Potiechin, Danilowskij i inni. Wycieczka ta dała mu możność gruntownie poznać północ Rosyi. Owocem tych studyów była książka p. t. „Rok na Północy," pierwsza praca poważniejsza, którą wyróżniło Towarzystwo geograficzne. Po tej podróży nad brzegami morza Białego i oceanu Lodowatego, nastąpiła (1860—61) nowa do świeżo zdobytej ziemi Amurskiej. Z powrotem Maksimow badał byt skazańców, więzienia i ogniska kary na Syberyi. Dało mu to materyał do prac następujących: „Na Wschód," „Więzienie i wygnańcy" i wreszcie znacznie później (1871 r.) „Syberya i ciężkie roboty." W r. 1862—3 Maksimow zwiedził północno-wschodnią część Rosyi, pobrzeże morza Kaspijskiego i gruntownie zbadał Ural. W r. 1868 z inicyatywy Towarzystwa geograficznego odbyła się nowa wycieczka do gubernij północno-zachodnich: Smoleńskiej, Mohylewskiej, Witebskiej, Grodzieńskiej, Wileńskiej i Mińskiej, co także dało Maksimowowi obfity materyał do licznych prac.

Nie był to autor wybitny, utalentowany, jego prace nie odznaczają się wytworną formą artystyczną. Był to raczej protokólista, który notował swoje spostrzeżenia, często dość chaotycznie i bez wyraźnego planu. Ale bądź co bądź, prace te mają wielką wagę i niejednemu badaczowi mogą posłużyć za cenny materyał surowy.

Do żywych sylwetek Maksimowa można byłoby zaliczyć jeden z najświeższych typów, którego życie zetknęło się z martwą literą prawa tak charakterystycznie, że w tym stosunku odbił się cały obraz urządzeń w danej dziedzinie. W r. 1900 policya łódzka wykryła, że w Łodzi mieszka niejaki Leon Brzozowski, nie zameldowany i nieposiadający żadnych dowodów legitymacyjnych. Człowiek ten nic nikomu złego nie wyrządził w ciągu całego swojego życia. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem sześcioletniem, wysłany przez matkę po piwo, zginął. Ktoś go przygarnął; poczem ten człowiek bezdomny tułał się po wioskach i zajmował się pracą wyrobniczą. Sam niejednokrotnie i usilnie kołatał do policyi z prośbą, ażeby mu dano jakiekolwiek świadectwo, ale zawsze spotykała go odmowa. Mieszkał już 12 lat w Łodzi, nawet się ożenił. Pomimo to wszystko prawo musiało zaliczyć go do szeregów włóczęgoskich i na tej podstawie pociągnąć do odpowiedzialności. W takich wypadkach na oskarżonych spada kara surowa— ciężkie roboty. Tym razem jednak piotrkowski sąd okręgowy uczynił wyjątek i nie trzymając się suchej litery prawa, uwolnił Brzozowskiego od wszelkiej odpowiedzialności.

Sprawę tę zaznaczyły pisma. Obecnie zaś dała ona temat *Birżewym Wied.* do artykułu, którego rozumowania godne są uwagi. „Jeżeli sprawa ma być rozstrzygnięta sprawiedliwie, to istotnie Brzozowski nie ma żadnej winy, a natomiast winne jest stare, wcale dotąd niezmienione prawo, które stawia niewykonalne w pewnych wypadkach wymagania legitymacyj piśmiennych, nie stworzywszy jednocześnie przepisów, które ułatwiłyby spełnianie tych wymagań. Niepodobna przecież matce sześcioletniego oddawać pod sąd dlatego, że nie posiada paszportu i że go rodzice porzucili."

Birż. Wied. z tego powodu zaznaczają potrzebę wynagradzania ze strony rządu osób, które bez żadnej winy dostały się na ławę oskarżonych. „Wynagrodzić Brzozowskiego za jego męczarnie moralne i fizyczne, zadane mu jedynie dlatego, że pra-

---

Napoleon Rouba.

CHYBIONE SWATY.

Daremnie wyglądał Józefowej w godzinie śniadania—nie przyszła. Więc wypalił papierosa, napił się wody i jakoś głód przepędził. Ale ku południowi wzięła go słabość okrutna i czczość, więc na odgłos dzwonka pobiegł do chałupy ogrodami.

Obiad znalazł na stole, ale gospodyni siedziała chmurna i milcząca.

— Gdzie chłopiec?—zagadnął.

— We dworze, na służbie.

— To i lepiej.

— Ejże, Kuba, nie pyskuj! cóż ci to krzywe moje dziecko?

— Głupiaś oto i kwita. Dość nas dwojga w chałupie, a po weselu to będzie jeszcze lepiej.

Ona zacięła zęby i milczała, on zaś zapalił sobie i zaciągał się z lubością po jedzeniu.

— A co mi dasz, to powiem ci nowinę— rzekł wreszcie tajemniczo

— Daj mi tam spokój.—mówiła opryskliwie, ale oczami zdradzała ciekawość okrutną.

— A widzisz, Magduś, jakem cię zażył? Oto ci powiadam, że rzucam służbę i basta, a biorę prom i sam sobie będę panem — mówił, uderzając w stół pięścią.

— Właśnie dadzą ci prom! a toć żyd płaci moc pieniędzy.

— Zapłacę i ja, bo ty mi dasz na półroczne z góry, a potem to już zapłaci Szmul, bo u nas będzie spółka.

— Ja tam nie chcę takiej spółki żydowskiej.

— Nie twój to babski rozum na to. Dziedziczka ruguje żyda od Św. Jana, ale i ona niespełna rozumu.

— Co też ty wygadujesz?

— Tak właśnie, jakem rzekł. Wieś przecie nie może zostać bez żyda, więc mu dam na mieszkanie moją połowę chałupy i zostanie po dawnemu.

— Więc będziesz wojować ze dworem, choć prom przecie masz trzymać od pani?

— Zapłacę z góry, to i spokój, a cóż tam pani do mnie i do mojej chałupy?

— Nie zdaje mi się...

Karbowy pogardliwie się uśmiechnął. Zaniechał na razie dalszej rozmowy, bo już i czas było do dworu, ale upominał ją, aby pamiętała o kolacyi.

— Oddajże trzy ruble — upominała się śmiało.

— Nie trzy, ale ci oddam dziesięć, a może i krowę przed zimą jeszcze dokupię — odparł tonem najgłębszego przekonania.

I znowu wdowa miała o czem myśleć i zwolna zaczęła powracać do myśli o Jakóbie, który, jak na to, omijał karczmę i szedł spać regularnie do swojej połowy, a raz i drugi posłał po parę flaszek piwa.

Niepokoiła ją tylko łąka, którą czas już było kosić, a nie można się było o to porozumieć z Pękalskim, który odkładał sprawę z dnia na dzień.

Antek przybiegł raz jeden przez całe trzy dni, a był odziany w piękną liberyę koloru piaskowego i długie palone buty.

Zdawał się już nie rozumieć, kiedy mu mówiła o swoich kłopotach, za to opowiadał o koniach, łódce, jakiejś iluminacyi i wielu innych rzeczach, które znowu jej zgoła nie interesowały.

— Doszczętnie mi chłopca obałamucili— ubolewała później, choć nikt o tem nie myślał, a stało się to dzięki temu nowemu otoczeniu, w które wpadł ciekawy i bystry chłopiec.

Że to było już z wieczora, dała mu klusków ze słoniną dobrą miseczkę, jako że zawsze miał wyborny apetyt. Ale chłopiec ani spojrzał w tę stronę, tylko trzepnął językiem to i owo, wreszcie wyszukał sobie małą siekierkę, jeszcze po ojcu, i jak wicher wyleciał z chałupy.

— Przez Kubę i innych dowiadywała się o niego codzień, więc wiedziała, że go oddano do ogrodnika, że robi czasem to lub owo, ale najczęściej laufruje z panienką.

wo jest wadliwe, byłoby wysoką sprawiedliwością."

Takie zjawiska nienormalne, jak słusznie zaznacza gazeta, wynikają z systemu paszportowego. Ale system ten jest rzeczą poważną i skomplikowaną i nie można, zdaniem gazety, żądać jego zreformowania jedynie na podstawie takich przykładów, jak sprawa Brzozowskiego. *Birż. Wied.* kładą nacisk głównie na wadliwość prawa i żądają jego udoskonalenia. Istotnie surowe prawo względem t. zw. „włóczęgów" już niejednokrotnie stało się przyczyną ciężkiej kary ludzi niewinnych i uczciwych.

I jeszcze jest do zaznaczenia jedno zjawisko, które poruszył organ wileński, *Siewiero-Zapadnoe Słowo*. Chodzi tu mianowicie o smutne losy pewnej kategoryi ludzi, t. zw. „mieszczan z wygnańców." Zwykle ludzie, pozbawieni przez sąd niektórych praw osobistych i wysłani na osiedlenie do gubernij odległych, po upływie pewnej liczby lat otrzymują możność zapisania się do stanu mieszczańskiego lub włościańskiego i wtedy już otrzymują paszporty, z którymi mogą iść na poszukiwanie zarobków. Istnieje wszakże jeden bardzo ważny szkopuł: w dowodach tych zwykle jest następująca adnotacya: „Paszport wydany mieszczaninowi z kategoryi przestępców kryminalnych." Na Syberyi tego rodzaju rekomendacya nie ma znaczenia, gdyż tam na skazańców, którzy odbyli karę, ludzie patrzą jak na zwykłych śmiertelników, ale w obrębie Rosyi europejskiej były przestępca kryminalny do końca życia jest zawsze uważany za zbrodniarza, więc skutkiem tego nigdzie nie może znaleźć zajęcia. Otóż takie dozgonne piętnowanie byłych przestępców jest dla nich wielką krzywdą. Niejeden nawet pod wpływem położenia bez wyjścia może, pchnięty rozpaczą, rzucić się znowu na drogę zbrodni — z głodu.

I w tym więc wypadku pożądana byłaby reforma, niezbyt trudna do przeprowadzenia, gdyż tym razem chodzi tylko o wykreślenie z paszportu jednej informacyi.

Skoro mowa o przestępstwach i przestępcach, nie można pominąć milczeniem charakterystycznego wypadku: wykrycia nadużyć i niewłaściwości w gospodarce charkowskiego Banku handlowego. Przysięgli opiekunowie tej instytucyi niewypłacalnej, złożyli w sądzie okręgowym raport, który zawiera osiem punktów, streszczających owe nadużycia. Między innemi dowiadujemy się, że Bank otworzył olbrzymi kredyt członkowi zarządu, p. Ałczewskiemu: na zobowiązanie osobiste 1,414,000 rb. i na zastaw niegwarantowanych przez rząd papierów na 6,029,000 rb. W protokóle posiedzenia zarządu zaznaczono nadużycia na 100,000 rb., popełnione pzez urzędnika Suchanowa za pomocą operacyj wekslowych. Sumę brakującą postanowiono pokryć zapomocą weksli członków zarządu. Bank prowadził operacye niedozwolone przez ustawę. Fundusz emerytalny (w sumie 42,165 rb.) pracowników instytucyi, który, zgodnie z ustawą, miał być przechowywany w kantorze Banku państwa, nie był tam wcale przelany i zniknął bez śladu. Zarząd Banku handlowego nie przerywał swych operacyj, między innemi także przyjmowania wkładów, pomimo że wiedział o zupełnem wyczerpaniu kapitału zakładowego i zapasowego. Zarząd nie zwołał także zebrania ogólnego, celem naradzenia się nad losami instytucyi. Wbrew ustawie, która pozwala od jednej osoby przyjmować wkłady w stosunku 8% kapitału zakładowego, przyjęto od Banku ziemskiego sumę dwa razy większą. Wogóle nadużycia w Banku charkowskim wywołały wielki popłoch i naraziły mnóstwo ludzi na znaczne straty.

Prasa rosyjska niekiedy poświęca osobne artykuły sprawom polskim i zarazem kościołowi katolickiemu. Niedawno pan Wołyniec w *Wilenskim „Wiestniku* zamieścił swoje spostrzeżenia, w których podał długi wykaz sum, wypłacanych stale przez skarb na utrzymanie duchowieństwa i wszystkich seminaryów katolickich, tudzież akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu, wreszcie na budowanie i odnawianie nowych kościołów. „Rząd rosyjski nie zapomniał także o tych zakonnikach katolickich, którzy przy sekularyzacyi po powstaniu (za udział w niem) kilku klasztorów, nie chcieli przejść do innych i wogóle pozostać w Rosyi, lecz wyjechali za granicę (do Galicyi) i wstąpili do klasztorów tamtejszych. Wszystkim im wyznaczono emeryturę dożywotnią. Niezależnie od tego pensyę od rządu rosyjskiego pobierają również księża i biskupi, którzy wyemigrowali lub zostali wysłani za granicę..." „Nieprawdaż, jakie to wszystko podobne do prześladowania katolicyzmu i „gnębienia" go?..." „Jakże się odpłaca duchowieństwo państwu rosyjskiemu za taką troskliwość i opiekuńczy stosunek?" „Gorący zwolennicy dążności polskich — księża — czytamy w najpoddańszym raporcie oberprokuratora świątobliwego synodu—zaczęli ze szczególną energią podniecać i podtrzymywać wśród ludności miejscowej usposobienia wrogie dla Rosyi i cerkwi prawosławnej. Przy każdej sposobności podnoszą wiarę katolicką i uwydatniają jej wrzekomą przewagę nad prawosławiem, tumaniąc ciemny lud najbezpodstawniejszemi plotkami. Odwiedzają coraz częściej swych parafian i zachęcają do trzymania się zdala od prawosławnych tudzież niewchodzenia z nimi w żadne stosunki.

W interesach propagandy łacińsko-polskiej, księża sztucznie korzystają z uroczystego odprawiania nabożeństw w święta kościelne i często powiększają swą owczarnię nowymi członkami, odrywając ich od cerkwi prawosławnej. Po rozporządzeniach, pozwalających księżom odnawiać kościoły, z czego zbyt szeroko skorzystali, jak również po pozwoleniu katolikom - uczniom odmawiać modlitwy szkolne nie w rosyjskim, lecz łacińskim języku, księża dumnie podnieśli głowy."

„Z faktów, dotyczących gubernij północno-zachodnich „Sprawozdanie" zaznacza następujące: Pewien ksiądz, dowiedziawszy się o przyłączeniu katolika do prawosławia, polecił dzwonić za niego w kościele, jak za zmarłego. Inny znowu nie puścił do spowiedzi parafianina z długą brodą i kazał organiście ogolić mu ją."

„Wogóle — jak zaznacza sprawozdanie oberprokuratora świątobliwego synodu, księża tworzą z siebie korporacye, zespolone jednym duchem nienawiści i złości przeciw prawosławiu i ludności rosyjskiej."

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 29 lipca.

Gloria victoribus!

Wśród ulic przyozdobionych chorągwiami francuskiemi i niemieckiemi, wśród okrzyków rozentuzyazmowanego tłumu wjeżdżali Francuzi słynną bramą Brandenburską na maszynach,

---

— Z pewnością śmierdziuch żywi się tam przy kuchni i ma wszelki dostatek — uspokajała siebie.

Teraz przykrzyło jej się w chałupie samej jednej, choć od świtu do nocy jedna robota goniła drugą, jak to zwyczajnie przy gospodarstwie. Więc z nudy jęła się powoli rozglądać w szmatach zapaśnych i zwolna przygotowywała sobie to fartuch odświętny, to parę koszul więcej, to wreszcie u Węgra parę chustek wybrała na głowę.

A karbowy przycichł, niby ta woda w jamkach na ługu po wiosennym wylewie, i kładł jej w uszy opowiadanie o swoich dostatkach przyszłych i tak pożądanym odpoczynku.

Co raz to zabiegła jakaś gospodyni wiejska z uboższych i oglądała się ciekawie, wypytując o wszystko.

Ale Józefowej niesporo było gadać, kiedy jeszcze sama nie wiedziała, w którą ma iść stronę.

We czwartek przyszedł Szmul i wsparłszy się o płot, tak sobie plótł, jak to żyd właśnie, który ciągle szachruje, a nigdy niczem porządnem się nie zajmie.

— Jadę do miasta, może czego potrzebujecie, gospodyni.

Wdowa odpowiedziała niechętnem ruszeniem ramion.

— Nu, to mi może co sprzedacie: osełkę masła, trochę jaj?

— Dawno już nic nie sprzedaję—odrzekła z wyrazem żalu

— Jak to może być? ja się bardzo dziwuję, bo i chłopaka nie macie w chałupie.

— Gadasz, co wiesz, żydzie.

— A jak mam gadać? Teraz to ja u was nic nie znaczę, a pamiętacie, że mnie i wasz Józef bardzo ufał i ja jemu często robotę stręczyłom.

— Ale, ufał tam, zawsze cię miał za cygana.

— On tak z dobroci żartował, aj, dobry był człowiek, dobry dla was i dobry dla mnie—dodał z udanem przejęciem.

Józefowa już miała łzy w oczach.

— Karbowy też jest chłop porządny — mruknął Szmul od niechcenia.

— Jeno za często chodzi do ciebie.

— Czego wy chcecie, gospodyni? Karczma dla wszystkich; czy to ja mogę mu zabronić? Co innego po ślubie, ja wtenczas muszę pamiętać o was, ja mu nic nie dam nie na kredyt i sam będę wypychał za drzwi.

— Bobym cię też sklęła razem z bachorami.

Szmul splunął z pogardą.

— To może sprzedacie mi parę kur na szabas?

— Widzicie go, jaki mi mądral? Kur mu się zachciało, a ja mam same nasiadki, albo młode swojego chowu.

— Przecie te kury u mnie, przy karczmie się żywią — zaprzeczył trochę gniewnie.

— To i co z tego? Kura, jak kura, grzebie gdzie jej się widzi, a ty na moje kury ślepiów sobie nie psuj.

— Aj! nie chcecie, to nie, tylko bez gniewu; moje pieniądze są tak dobre dla mnie. jak wasze kury, dla was. Myślałom tylko, że ich macie tak wiele, to i ukraść kto może.

— Już ty się o to nie troszcz.

Szmul spojrzał na nią, jakby drwiąco, i pożegnał kiwnięciem głowy.

— Dla ciebie, parszywy, właśnie je chowałam!—rzekła sobie rozweselona i wyszła przed chatę z trochą pośladu, aby zwołać swoją gromadkę.

Na głos jej zewsząd biegły wnet kokosze z wrzaskiem i trzepotem skrzydeł, a złocisto-czerwony kogut zapiał trzykrotnie, zaznaczając swą powagę.

Zaczęła je liczyć i spostrzegła brak.

Podniosła głos tedy i zaśpiewała na całe gardło piskliwą, a długą odzywką, aż pewno słychać ją było za rzeką i we dworze.

Ale kur nie przybyło—brakło pięciu.

Przyszło jej wtedy na myśl, że muszą gdzieś siedzić po kątach, więc zajrzała do obórki, pod żłób, potem na strych, a nawet między krzaki przy domu i do sionki karbowego.

Lecz wszystko to nie zdało się na nic.

przypominających nieco assyryjskie wozy wojenne, niosąc Niemcom radosną nowinę o wielkiej epokowej zdobyczy w dziedzinie lokomocyi i wyciągając do nich dłoń pojednawczą w dowód rezygnowania z „rewanżu.“ Czego nie dokonały upominki Wilhelma II, muzyka Wagnera, wycieczki do Paryża orkiestry filharmonijnej, zrzeczenie się obchodu uroczystości sedańskiej, czego nie dokonały oświadczenia młodzieńców francuskich (z okazyi ankiety), iż Wilhelm II imponuje im ogromnie, mówi pięknie, uroczo jeździ konno i prezentuje się jak nikt na świecie — to zdziałał samochód, bratając dwa zwaśnione narody. Co prawda, nie plebs wjeżdżał do Berlina, nie Marsylianka i hasła „liberté, egalite, fraternité,“ lecz „śmietanka“ społeczeństwa francuskiego, hrabiowie, baronowie, markizowie i bankierowie w towarzystwie swych „przyjaciółek.“ A jednak nie ulegało wątpliwości, iż z palmą pokojową w ręku przybywają prawdziwi wybrańcy narodu, kwiat ziemi francuskiej, parlamentaryusze, obwieszczający zawieszenie broni i ugodowe usposobienie koguta gallijskiego. Gdy figura w masce i okularach, szczelnie zawinięta w płaszcz gumowy, wydobywała z siebie ów sakramentalny frazes „à Berlin“ z r. 1870, setki rąk wyciągały się dla wskazywania drogi. Pomimo, iż koła machin były zbroczone krwią przejechanych dzieci, gapiów i zwierząt, pastorzy witali gości na każdej stacyi kontroli, aby dać im łamaną francuszczyzną błogosławieństwo na drogę. W Wittenburgu, grodzie ojczystym Lutra, zapanowała taka radość na wieść o przybyciu gości, jak gdyby wielki reformator miał po raz powtórny spalić bullę papieską. W Gelnhausen, stolicy Barbarossy, przyjmowano Francuzów niby orszak cesarza, powracającego z wojny krzyżowej. W Hanowerze zbudowano bramę tryumfalną, a dziewice honorowe w bieli, symbolizującej niesplamioną cnotę, ofiarowały „drogim sąsiadom“ bukiety i nakładały na ich głowy wieńce, splecione przez arystokratyczne damy miejscowe.

Cóż dopiero działo się w Poczdamie i Berlinie, gdzie damy całowały z zapałem okryte kurzem ręce Fourniera, tryumfatora wyścigów samochodowych, gdzie na cześć „kochanych sąsiadów“ dawano uczty i przedstawienia galowe. O ile mi wiadomo, Niemcy przyjmowali w XIX stuleciu cudzoziemców z taką serdecznością tylko trzy razy. Przed dziewięćdziesięciu mniej więcej laty Berlin owacyjnie witał cudzoziemca małego wzrostu, nazwiskiem Bonaparte. Gdy podczas wjazdu jego przez Lipy lud oniemiały ze strachu milczał, stojący w przednich szeregach bogacze zwracali się wciąż do „ariergardy“ ze słowami: „Schreit hurra!“ (Wołajcie hurrah!). Tak, było to przed dziewięćdziesięciu mniej więcej laty. Po raz drugi inoplemieńcy wywołali powszechny zapał w r. 1848. Wypuszczonych z Moabitu Polaków, oskarżonych poprzednio „o zdradę stanu,“ obwożono po mieście, przy radosnych okrzykach ludu. Wreszcie przed kilku laty wprawił w zachwyt stolicę niemiecką Fritjof Nansen. Lud zaprzągł się do jego powozu, a gdy podróżnik przybył do dworu, cesarz przedstawił go swemu najmłodszemu synowi ze słowami: „Zapamiętaj sobie, żeś miał szczęście oglądać na własne oczy tego oto człowieka.“

Na cześć arystokratycznych zwolenników samochodu wydano wielką ucztę urzędową, zaszczyconą obecnością ministra handlu, Möllera, który w mowie swój zaznaczył, iż wielka zasługa automobilu polega na powołaniu do życia nowej gałęzi przemysłu. Należałoby zatem — dodajmy od siebie — przywrócić prawa peruce z XVII stulecia, gdyż w ten sposób odrodziłby się i rozkwitł fach perukarzy, zrujnowanych do szczętu, jak wiadomo, przez Wielką Rewolucyę francuską. W przeciwstawieniu do świata arystokratycznego, popierającego samochód, jako środek sportowy, mało przystępny dla ubogiego motłochu, przedstawiciele inteligencyi tutejszej dość obojętnie traktują tę najnowszą zdobycz techniki. Wogóle zaczynają tu ludzie zapatrywać się sceptycznie na niektóre udogodnienia kultury nowoczesnej. Filozof Simmel np. zaznacza często w ostatnich czasach, iż rozwój kultury przedmiotowej nie zawsze idzie w parze ze zgłębieniem ducha naszego. Rozmowy prowadzone drogą telefonu są stanowczo płytsze od osobistego porozumiewania się. Korespondencya współczesna jest bezmyślniejsza i bardziej bezbarwna od pięknych i głębokich listów, jakie nam pozostawił w puściznie wiek XVIII. Samochód pod względem wpływu na ducha naszego stanowczo pozostaje w tyle za swymi rywalami. Lubo doskonałe narzędzie dostawy miejskiej, jako środek sportu jest szczytem bezmyślności; nadaje się zresztą doskonale w roli zabawki dla tych sfer, które go wzięły w swą opiekę. Bądź co bądź, pozostanie faktem znamiennym, iż za jego pośrednictwem zbratały się dwa wrogie narody.

W życiu politycznem Niemiec zaszedł inny wypadek wybitny, ale tak ponury, iż dziwić się należy, że gazety niemieckie nie wychodzą z czarną obwódką, a poczciwi patryoci nie noszą żałoby. Po raz pierwszy bowiem od czasów istnienia państwa niemieckiego w prowincyi rdzennie niemieckiej Polacy odważyli się postawić własną kandydaturę do sejmu Rzeszy. W jednym z okręgów westfalskich, którego poprzedni deputowany był powołany na złość agraryuszom, pomimo swego pochodzenia plebejuszowskiego, na urząd ministra, mają się odbyć wkrótce wybory zastępcze. Liberałowie narodowi, z których łona wyszedł nowokreowany minister Möller, idą w zawody z centrum, które przeważnie liczy na pomoc robotników polskich. Jakeśmy pisali w swoim czasie, w Westfalii i Nadrenii powstały bardzo poważne kolonie polskie, składające się z ludności robotniczej. Księża niemieccy podsycali tę przyjaźń i wyzyskiwali ją ku chwale i czci ultramontanizmu. Aliści z czasem jeden z druhów awansował na faworyta rządowego i nietylko zhardział, ale zapomniał zupełnie o swym ściganym i uciskanym przyjacielu. Gdy chłosta polityki hakatystycznej spadała na skrwawione plecy nieboraka, serdeczny przyjaciel modlił się gorąco za zbawienie jego duszy i ściskał czule rękę siepaczy.

Ciemny pracownik nadreński był jednak tak oplątany siecią wpływów ultramontańskich, iż nie spostrzegł przez długi czas dwulicowości przyjaciół swoich. Dopiero gdy Ślązk oświadczył, iż wyprosi niebawem za drzwi Judaszów, którzy za miedziaki i srebrniki łaski pruskiej, sprzedali swych przyjaciół, wtedy i Polacy westfalsko-nadreńscy zauważyli sromotne piętno Kainowe na czole centrum. Zachodziła kwestya, co począć z owemi 5—6 tysiącami głosów polskich, stanowczo mogących zaważyć na szali wyborczej, tem bardziej, iż stolica okręgu Bochum jest dziś prawdziwie polskiem miastem. Rzucić się na szyję płazem narodowo-liberalnym znaczyłoby dopuścić się zdrady wobec sprawy polskiej. Po długiem i ciężkiem wahaniu zdecydowano się postawić pierwszą kandydaturę poselską w Westwalii w osobie

---

— Hycel żyd! może to jego sprawka? — przyszło jej na myśl wtedy.

Chciała mu wnet skoczyć do oczu, ale już odjechał do miasta. Dopiero Kuba przyszedłszy na obiad, wziął żyda w obronę.

— To pewno, ktoś z obcych; mało to ludzi przejezdnych z rzeki i na drodze tu się kręci, a taki Szmul to zawsze swój i nie ważyłby się robić ci szkody teraz, kiedy ma ze mną interes.

Wydało jej się to sprawiedliwem, ale biedowała jeszcze na swoją dolę sierocą.

— A tu i chłopca wzięli mi z chałupy.

— To też weźmiesz i ty sobie, ale już całego chłopa — odparł, mało zmartwiony jej szkodą, a skory do wesołości, przysiadając się do niej.

Odepchnęła go leciutko, tylko ze zwyczaju. Już też radaby z tem jakoś zakończyć.

Więc już sama zagadnęła odchodzącego:

— Organista miał dziś przyjść.

— Ha! niech przyjdzie.

— Czekajże, to dam na gorzałkę i piwo.

— Znajdę i u siebie—odparł, nie czekając, aż pójdzie do skrzynki.

— Statkuje potroszę...—pomyślała wtedy z radością.

Więc też już bez żalu postanowiła zabić dwa prosiaki na kolacyę, bo i maciora zresztą coś jakby nie domagała od kilku dni.

Jakoż organista stawił się przed wieczorem i witał ją, jak zwyczajnie, że go wcale zrozumieć nie mogła.

Za to poznała odrazu, że jest jakoś niezwyczajny, bo skromniejszy i bardziej milczący.

Dopiero mu się twarz nieco zaokrągliła, kiedy jęła wykładać na misę kęsy soczystego prosiaka. Zażył tabaki raz i drugi, nałożył okulary i mówił śpiesznie, jakby pragnąc się pozbyć czegoś niemiłego.

— Znaliście mię zawsze z tego, iż nie lubię wtrącać się w nieswoje rzeczy...

— O!—przerwała.

— Dajcież mi mówić!—żachnął się niecierpliwie. — Otóż, jak rzekłem, nie mam takiego zwyczaju, lecz dobrze jestem wszystkim życzący; tak dobry mi Kuba, jak i Magdalena, a ta może i lepsza, bo się dawniej znamy z sobą. Otóż, jak rzekłem, pełnię tylko swoją powinność, gdy was pytam: azali będzie co z waszego małżeństwa z karbowym, czy nie?—bo ja to wiedzieć muszę, jako będący przy kościele i spraw jego wiernie pilnujący.

— A no, idzie do tego, sami wiecie dobrze.

— Jeśli was serce ciągnie... — dodał zaraz.

— Jak tego psa do kija.

— Kij kijowi nie równy.

— Trzeba brać, jaki jest pod ręką, aby prędzej i dłużej nie wadził.

— Ja tam nic nie wiem — odrzekł chytrze.

Już też straciła cierpliwość.

— Macie gadać po ludzku, to gadajcie, a nie, to nie strzępcie daremnie języka.

— Każda kobieta ma w sobie dużo złości, która jej wychodzi przez gębę...

— A wy to przepijacie ją gorzałką!

— Dobrześ rzekła, Magdaleno, to też nigdy i nikomu szkody nie poczyniłem, krom tego trunku szatana, z którym godzi się przecie wojować... Com chciał rzec? aha! mówię ci, kobieto, ładnie, albo sobie idź za Kubę, albo i nie chodź. Nie taka to rzadkość karbowy, a i ty przecież nie ostatnia.

— Więc mi nie radzicie? -podjęła skwapliwie.

— O, jak to babski język nawet cudze myśli wyprzedzał! Et, nie radzę, ani odradzam, jeno tak sobie myślę, że nie warto nadstawiać łba za chłopa, skoro i dziś jesteście sobie gospodynią i macie poważanie u ludzi.

— To się wie—odparła kobieta, stukając naczyniem u komina.

— I wiem to nie od dzisiaj, że nic z tego nie będzie, kiedy niema na to woli bożej, a taka, jak wy kobieta mało sobie z tego robi.

— O dla Boga! wielkie mi też dziwy, karbowy!—wykrzykiwała Józefowa.

Leona Czarlińskiego. Nazajutrz zjawił się już drugi kandydat, bardziej społeczny i dalej idący. Słowem, początek zrobiony. Centrum, oburzone niewdzięcznością Polaków, zresztą przysłowiową, zagroziło nietylko karą piekielną, ale nadto prawami wyjątkowemi przeciwko wichrzycielom polskim, zapominającym, iż zbawienie jest tylko w kościele i centrum. Że ruch ma tło nie wyłącznie narodowe, niechaj świadczy następny, najważniejszy ustęp z odezwy komitetu wyborczego: „Kto więc pragnie, aby ludowi polskiemu w stronach niemieckich głoszono słowo Boże w języku ojczystym, kto życzy sobie, aby starzy jego rodzice na łożu śmiertelnem usłyszeli słowa pociechy z ust kapłana polskiego, kto w mowie, w której go matka uczyła pacierza, chce wyznawać grzechy swoje, niech nietylko sam pośpieszy na wybory z kartką polską, lecz nadto niech pilnuje, aby to uczynili wszyscy Polacy.“ Jak widzimy, Polacy westfalscy mają wymagania arcyskromne Miejmy nadzieję, że po grupie Czarlińskiego przyjdzie inna, która polskim emigrantom, pełnym świętej prostoty, poda owoc poznania dobrego i złego.

Przytoczymy tu jeszcze okólnik pruskiego ministra oświaty w sprawie gimnazyalnego wykładu historyi. Dokument ten ciekawy, jako objaw czasu i oddźwięk prądów współczesnych, brzmi w dosłownem tłomaczeniu tak: „Idzie o to, aby rozwinąć w dzieciach zmysł dla pragmatycznego związku pomiędzy wypadkami, porządku wyższego w dziejach, oraz zdolność do zrozumienia teraźniejszości i przeszłości. Zwłaszcza trzeba nauczyć dzieci należytego oceniania tych zjawisk życia umysłowego i gospodarczego, które wywarły wpływ na rozwój narodu. Wielkiego taktu i oględności w wyborze i traktowaniu przedmiotu wymaga wykład kwestyj ekonomiczno - społecznych. Wykład taki, przeniknięty duchem etyczno - historycznym, powinien zaznaczyć słuszność niektórych społecznych haseł teraźniejszości, oraz zgubność wszystkich gwałtownych prób, podejmowanych dla zmiany ustroju społecznego. Im przedmiotowiej przedstawia on historyczny rozwój stosunku rozmaitych stanów społeczeństwa do klas pracujących i wykazuje nieustanny postęp ku lepszemu, unikając przytem wszelkiej tendencyi, tem łacniej uda się wyrobić z młodzieży naszej, obdarzonej zdrowym rozsądkiem, przeświadczenie o zgubności niesłusznych dążeń teraźniejszych. To dążenie gospodarcze można wplatać w bieg historyi wszędzie, gdzie kuszono się o rozwiązanie zagadnień społeczno-ekonomicznych...“

H. F.

PRACA ZAWODOWA KOBIET A MAŁŻEŃSTWO.

III.

Wprzęgnięte do jarzma obowiązków rodzinnych dwa miliony kobiet popchają jednocześnie przed siebie taczkę pracy zawodowej. Widzieliśmy, jakie skutki pociąga za sobą ta praca na dwu warsztatach. W sferze pracownic ręcznych ta dwustronność obowiązków zatruwa życie mężom i wydaje dzieci na łup zwyrodnienia. W świecie pracy umysłowej występuje niemożność oddania się całą duszą którejkolwiek z obydwu sfer działalności. Bardzo poważne myślicielki jak np. indywidualistka Ellen Key, przypisywały to Janusowej pozycyi kobiet zwróconej w dwie przeciwległe strony publiczności i dyletantyzmu. Kronika ruchu kobiecego zaznaczyła szereg ponurych tragedyj powstałych na tle tego zatargu. Dwie świeże mogiły kobiety - pracownicy pani Kempis i nieszczęsnej samobójczyni literatki Kapff-Elsenther (o których pisaliśmy w swoim czasie) potęgują smutek wiejący z dwu wspomnianych poprzednio źródeł: ankiety urzędowej i wyczerpującej pracy pani Pimon i Gerhard. Widzieliśmy nadto, iż ten rozdźwięk życiowy nie da się stłumić ani zagłuszyć drogą powrotu do „starych dobrych czasów.“ Ludzkość mknie naprzód, a biegu jej nie można ani zwolnić, ani powstrzymać.

Nasuwa się tedy pytanie: czy nie potrafilibyśmy złagodzić zatargu wspomnianego, zmniejszając jeden z dwu ciężarów, ten mianowicie, który dla kultury ludzkiej posiada donosłość mniejszą. Zdaje się iż zadaniem przyszłości będzie stworzenie właśnie takich form życiowych w łonie gospodarstwa domowego, które mniej będą pochłaniały czasu i sił kobiecych. Wiemy aż nadto dobitnie i słyszeliśmy już niejednokrotnie o przewrocie dokonanym w technice gospodarstwa domowego, który wyzwolił kobietę z kołowacizny drobnych i nudnych czynności natury rzemieślniczej. Skoro jednak gospodarstwo domowe wciąż przygniata ciężarem swym kobietę, świadczy to, iż stoimy dopiero w połowie drogi i że dla dobra kobiety, w celu zwolnienia jej z pęt poziomych czynności, dających się załatwić prostszym, dogodniejszym sposobem, należy postąpić kilka kroków naprzód w tym kierunku. Wyznajemy, iż jakkolwiek potrącono sprawę tę mimochodem niezliczone mnóstwo razy, rzadko kto miał odwagę „wziąć wołu za rogi.“

Do takich osób nieustraszonych należy między innemi p. Lili Braun-Giżycka, jedna z najsympatyczniejszych przedstawicielek niemieckiego ruchu kobiecego oraz społecznego. Pani Braun jest współredaktorką kobiecego pisma *Die Gleichheit*, reprezentującego zarazem stronnictwo społeczne. Była współzałożycielką „Towarzystwa kultury etycznej,“ autorką licznych i pięknych prac treści kobieco-społecznej, wypracowała ostatnio i propaguje projekt, mający na celu zdjęcie z przeciążonych ramion części gniotącego brzemienia.

Pani Braun wychodzi z założenia, iż rzeczywistą usługę wyświadcza sprawie kobiecej nie ten, kto łagodzi zatarg pomiędzy zawodem kobiecym a jej obowiązkami rodzinno - gospodarskimi, nie ten, kto przytacza legendowe adwokatki amerykańskie, wychowuje wzorowo swe dziesięcioro dzieci obok pełnienia urzędu, lecz ten, kto nazywa rzecz po imieniu. Tylko zwolenniczki dyletantyzmu mogą podołać obydwu obowiązkom, ale pozostają dyletantkami na obu polach, gdyż racyonalne gospodarstwo domowe, nawet w dzisiejszym stanie jego techniki, wymaga studyów przygotowawczych i całej masy specyalnych wiadomości. W większości wypadków dzisiejsza gospodyni nawet wtedy, gdy nie skosztowała z owocu poznania, jest potworną karykaturą tego, czem być powinna. Ileż to kobiet ma pojęcie o chemii kuchennej, hygienie życiowej, nowoczesnem wychowaniu dzieci itd.! Cegóż się tu dziwić, iż mające sposobność zjedzenia obiadu w hotelu lub na pensyi, przysięgają uroczyście, iż po tej cenie nie mogłyby dawać tak smacznych i pożywnych potraw. A jednak ci sami hotelarze i restauratorowie robią wcale niezłe interesy. Dlaczegoż? Oto dlatego, iż wyzyskują sztukę racyonalnego gospodarstwa, znają się na ekonomii materyału i sił robo-

---

Organista zerknął raz i drugi w jej stronę i uśmiechał się przebiegle.

— A tom ją ugłaskał, niby kota po sierści—mruknął z cicha.

Już szedł i Kuba z butelkami w kieszeniach i w zanadrzu, lecz jakoś nadto obojętnie przywitał organistę.

— Kiedy wam, Józefowo, pan Bóg dał gościa, rad będę wam wygodzić w poczęstunku — rzekł politycznie, stawiając butelki na stole.

Poczem siadł skromnie na uboczu i zlekka zagadywał organistę o to, co się dzieje we wsi.

Wdowa, aż usta otworzyła z wielkiego dziwu. Wszakże to on już zdawna nawykł rządzić się u niej lepiej, niż u siebie samego.

Obaj hycle przywarowały i tyle!—przemknęło jej po głowie.

Jajecznica już stała na stole, obok apetycznego prosiaka i sporego bochna świeżo upieczonego chleba.

Niebawem też zaczęli wieczerzać w milczeniu. Po kilku kieliszkach wódki organista zgarnął trzy części prosiaka na swoją miskę, snadź tak obliczywszy porcyę sobie należną, jako duchownej osobie.

Za to karbowy przegryzał skromnie kawałkiem chleba.

— Ja tam nie taki, jak insza, co jeno patrzy, aby się obeżreć do sytości — mruknął gniewnie.

Organista uwijał się jeszcze łapczywiej, a zagadywał co chwila to o tem, to o owem.

— Słyszałem, że dziedziczka Szmula ruguje i prom ma trzymać na siebie, to może z czasem zwróci się do was, jak to było przed śmiercią Józefowego ojca—rzekł do Józefowej.

— Jakże to baba promem pokieruje — drwił karbowy.

Organista czuł się złapanym, gdyż musiał się teraz albo jasno wypowiedzieć z myślą o ich przyszłem małżeństwie, co bynajmniej mu nie dogadzało, albo też o bliskiej zdatności Antka, co mogło do reszty oburzyć karbowego.

— Można przecie dobrać sobie wspólnika — wykręcił się w końcu dość sprytnie.

— Ale!—podchwyciła wdowa, przyczem spojrzała na karbowego z poczuciem jakiejś wyższości.

Ten zaś tylko ręką pogardliwie machnął.

Dotąd żadne z nich nie poruszyło sprawy zapowiedzi u proboszcza i bliskich zaślubin. Józefowa była tem mocno zaniepokojona tem bardziej, że wódka już się miała ku końcowi, a od jednego prosiaka kości tylko zostały na miskach.

Więc, choć markotna, postawiła na stole drugiego.

— Nie macie co chować go na jutro, boć to dzień piątkowy — pochwalił organista, kładąc niezwłocznie spory kęs przed siebie.

Tego było już nadto dla karbowego. Wychylił raz po raz dwa kieliszki, pomijając organistę i rzucił się na prosiaka ze zdwojoną żarłocznością, bezpośrednio całą pozostałość zagarniając dla siebie.

— Skórę-by zdarły te chłopy ze mnie!—sumowała Józefowa.

— W moim stanie to człowiek musi się często ocierać o prostactwo—przyciął zjadliwie organista, z pogardą odwracając się od resztek jajecznicy.

— Nijakiego to musu na was niema — mruknął karbowy.

Organista, domyślając się już zakończenia uczty, wziął na ambicyę i obraził się.

Daremnie Józefowa zatrzymywała, go wspominając o piwie, daremnie tłomaczyła potrzebę pogadanki, pożegnał ją i odszedł, nawet nie patrząc w stronę karbowego.

— Coś ty mądrego narobił Kuba?

— Albo co?

— Przecie organista poszedł zły niby szatan.

— Toć pojutrze trzeba nam iść do proboszcza!

— Wprzód muszę jutro skończyć z dziedziczką o prom, więc daj mi, Magduś, pieniądze—odparł z przymileniem.

— Bój że się Boga, człowieku, grosz to Antkowy, na to przysięgłam.

czych, stosują zdobycze techniki nowoczesnej i chemii, obchodzą się oszczędnie z resztkami i czynią zakupy na wielką skalę. Dlaczegóż w takim razie trzymamy się z uporem naszego domowego ogniska? Czyliż mężczyźni, o których tu głównie idzie, nie zapewniają, iż najlepiej smakują im obiady restauracyjne? Nie ulega w istocie żadnej wątpliwości, iż kuchnia rodzinna jest względnie droższa, gorsza i mniej hygieniczna, pochłania więcej sił, niż prywatna, słowem, ma te same niedogodności, co domowe pranie, wyrugowane nieodwołalnie przez pralnie. Dlaczegóż jednak nie zrzekamy się tej przeżytej instytucyi. Czyż naprawdę przypuszczamy, iż ona jest podstawą życia rodzinnego? Pani Braun podkreśla, iż nietylko nie myśli burzyć tego ostatniego, lecz przeciwnie chciałaby je odbudować na zasadach nowoczesnych. W tym celu należy gospodarstwu pojedynczej rodziny przeciwstawić gospodarstwo wspólne zrzeszonej liczby rodzin. Na miejsce dziesięciu lub dwudziestu rozpalanych ogni, niechaj powstanie jedna kuchnia centralna, podobnie jak praktykuje się centralne ogrzewanie domów. Obiady mogą być spożywane we wspólnej jadalni lub też we własnych pokojach. Każde mieszkanie posiada na wszelki wypadek własną kuchenkę gazową. Przedewszystkiem zyskujemy tedy na komornem. W związku z tem zaś powstałaby ekonomia personelu służbowego. Gmina mieszkaniowa przyjmuje wspólną gospodynię i trzyma wspólnie jedną lub kilka służących. Dla dzieci wynajętoby wspólną bonę, która rozciągałaby nadzór nad dziatwą gminy, zgromadzoną we wspólnym ogródku lub bawialni danego domu. W takich warunkach matki z pewnością będą mogły więcej czasu poświęcić swym dzieciom, niż obecnie. Gospodarskie czynności kobiety prawdopodobnie polegałyby tylko na konferencyach z gospodynią i obrachunkach z nią. Zamiast pań, które spełniają swe obowiązki domowe w sposób dyletancki, będziemy mieli zawodowo wykształcone gospodynie. Nie koniec na tem.

Opisywana tu reforma, która bynajmniej nie wyda się czemś niesłychanem, może stać się punktem wyjścia dla dalszych udoskonaleń. Do wspólnej jadalni przyłączy się z czasem wspólna czytelnia i bawialnia. W ten sposób nawet procedura przyjmowania gości, tak uciążliwa dziś dla gospodyń, odrazu będzie ułatwiona, a wskutek tego może i towarzyskość rozkwitnie. Współżycie tego rodzaju odbije się zbawiennie również na dzieciach, podrastających w ciągłem otoczeniu osób swego wieku. Zbytecznem byłoby dodawać, iż kwestya służących, która stała się dziś klęską żywiołową, przybierze odrazu inny obrót. Ponieważ stosunek do wszechwładnej pani domu jest innym, niż do gospodyni, reprezentującej kolegium, kobiety zamężne będą miały ręce rozwiązane, a kto wie, może i życie rodzinne, które się dziś wali niby pękająca rudera, odrodzi się, rozkwitnie i wybuja.

Daleko większą rolę odegrałyby te wspólnoty w życiu zamężnych najmitek. Pracownica ręczna bądź zrzeka się zupełnie gorących obiadów, bądź zadawala się byle jak ugotowaną strawą, żeby nie uczęszczać do taniej kuchni. Ta bowiem trąci dobroczynnością, a zwiedzający ją goście czują się żebrakami, pobierającymi jałmużnę w formie zakapturzonej. Dlatego właśnie reforma gospodarstwa domowego powinna wyjść na dobre przeważnie kobietom ze sfer ubogich. Zwłaszcza w związku ze stowarzyszeniami budowlanemi, które w Niemczech bądź budują domki na wspólnym terenie przedmiejskim, bądź wznoszą na gruncie miejskim domy stowarzyszeniowe, gminy gospodarcze mogą mieć wielkie powodzenie. W takiej gminie każda zamężna kobieta czuje się równoprawną panią, pomimo iż będzie zwolnioną od większości zajęć, spełnianych przez nią dotychczas przymusowo w sposób powierzchowny i szkodliwy dla rodziny. Reforma nie jest stanowczo żadnym światoburczym przewrotem. O tem świadczą ogródki freblowskie, ludowe kuchnie, herbaciarnie i czytelnie. O tem świadczy również rozwinięte w Ameryce życie klubowe, hotelowe i pensyjne, oraz wchodzące w Anglii w modę setlements — kolonie społeczne. „Nie zburzenie — woła pani Braun — lecz uszlachetnienie życia rodzinnego będzie skutkiem naszej reformy. Opiera się ona bowiem na bogatym rozwoju osobowości, na głębszem porozumieniu pomiędzy mężczyzną a kobietę, na pełnem miłości traktowaniu dziecka, nie zaś na tem, aby każda matka własnoręcznie cerowała pończochę lub doglądała obiadu, a ojciec wypoczywał w knajpie z nudów swego gniazda rodzinnego.“

Projektowi p. Braun nadajemy wielkie znaczenie... sympatyczne. Jest to prawdopodobnie jedna z tych pierwszych jaskółek, co giną, lecz zgonem swym zapowiadają rychłe przybycie nowych daleko liczniejszych stad. Dlatego też, gdy projekt ten będzie gruntownie opracowany z większem uwzględnieniem czynników rzeczywistości, lub gdy słowo zacznie stawać się ciałem, wtedy powrócimy do idei p. Braun. Dzisiaj niech nam wystarczy to krótkie sprawozdanie.

Ef.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

„Precz, szakale!..“

Śmierć wydaje mi się najokrutniejszą wtedy, gdy pozbawia wielkich i czczonych przez ogół zmarłych możności protestu przeciw krzywdzie i gwałtowi, zadawanym ich świetlanej pamięci. Myśl tę nasunęło mi ogłoszenie jednego z organów klerykalno-konserwatywnych, że w odcinku swoim drukować zaczyna niegłoszony dotąd dramat Juliusza Słowackiego.

Słowacki i konserwatyzm, Słowacki i klerykalizm, Słowacki i to wszystko, z czem się zmieszały w owym organie te pierwiastki — to chyba zbyt bolesne zestawienie. Są rzeczy, których pewne ręce dotykać nie powinny, a należy do nich niewątpliwie puścizna po wielkim poecie, który tak gorąco modlił się o czasy nowe i, płonąc sam, tak bardzo odczuwał gorących, a na swym sztandarze promiennym wypisał złotemi zgłoskami to wiecznotrwałe hasło: „Honor myślom, z których błyska nowy duch i forma nowa, bo są światu jak zjawiska, jako jutrznia są różowa...“

Ciekawa rzecz, coby powiedział autor „Grobu Agamemnona,“ ujrzawszy nazwisko swoje w otoczeniu współpracowników dziennika, który dziś jego dzieło drukuje. A jeżeli oni sami, odczytawszy sobie w cichości ducha choćby tylko wiersz „Do Autora trzech psalmów“ lub niektóre strofy „Beniowskiego,“ nie uczują na swych czołach palącego rumieńca wstydu, to chyba dlatego, że się rumienić zapomnieli.

— To z czemże ja cię wezmę? — syknął z gniewem, podniecony trunkiem.

Wtedy zrozumiała, że grają z sobą w odkryte karty, więc postanowiła spróbować planu Pękalskiego.

— Żebyś mi choć odstąpił swoją połowę chaty i ogród, tobym miała jakie takie tłomaczenie przed ludźmi, przed panią i proboszczem, a tybyś wziął sobie pieniądze.

Kuba nie zdziwił się tej propozycyi, bo i jemu o tem napomknął Pękalski, lecz milczał, nie chcąc się zdradzić zbyt prędką zgodą. Uśmiechała się jeszcze myśl posiadania gotowizny, przyczem chałupa i grunt zostałyby po dawnemu przy nim, skoro ma zostać mężem przewoźniczki.

Ona zaś kusiła go jeszcze mocniej.

— Już tam u ciebie dach całkiem przecieka, a na ogrodzie nawozu nie było od świętej pamięci.

— Cyganisz, Magda, niby ten Szmul. — Przecie i sam wiem, że lepiej będzie chałupie i ziemi w jedności, jeno mi słusznie musisz zapłacić.

— A ileż myślisz?

— Ha! niechby choć ze dwieście pięćdziesiąt rubli.

— Co też ty gadasz? — krzyknęła wdowa, choć i Pękalski wspominał o takiej cenie mniej więcej.

Więc wzięli się zmagać wzajem długiem gadaniem i tłomaczeniem, przyczem karbowy klął siarczyście i rozbijał stół pięścią, a Józefowa coraz to biadała o swojem sieroctwie.

Stanęło w końcu na dwustu rublach i dziesięciu. Te dziesięć potrzebne były na nowe buty i parokrotne upicie się.

Mieli jutro pójść do gminy i całą sprawę ukończyć przy świadkach, więc się rozeszli wcześniej, zajęci myślą o szczęśliwie dokonanym obrocie i własnej przebiegłości.

Magda niby na coś czekała jeszcze, kiedy Kuba brał czapkę i kijek, ale snadź mu było pilno do snu, bo zbył ją krótkiem pozdrowieniem i chyłkiem szedł do drzwi.

Krzątała się tedy niebogą, ze złością zsuwając naczynia na komin i mrucząc pacierze, wreszcie legła pod pierzynę z mocnem postanowieniem wydania się za karbowego.

Sen ją odbiegł; długo przewracała się na łóżku, to wyprężając się kurczowo, to zwijając się w kłębek, a słuchając bicia własnego serca.

Nagle zdało się jej, że słyszy na powale ciężkie powolne stąpania. Odrzuciła pierzynę i przycupnęła cichutko, tając dech w sobie.

Lecz było cicho przez pewien czas. Potem usłyszała coś niby trzepot skrzydeł, a zaraz następnie gdakanie kur na strychu i wojowniczy śpiew koguta.

— A drze się też ścierwo, zatracony!

Już ponownie utknęła twarzą w poduszkę, gdy zdało jej się najwyraźniej, że ktoś schodzi po drabinie ze strychu.

W jednej chwili znalazła się pod oknem i przyignęła twarzą do szyby, bacznie nasłuchując.

Noc była widna, więc łatwo poznała przemykającego się Kubę, jakby z czemś pod pachą.

Odrazu wzmogła się w niej odwaga; i wybiegła przed chatę.

— Kuba, a czegoż ty szukasz po nocy?

Ów nagle zaskoczony, stanął jak wryty, aż mu z pod pachy wymknęło się to coś i pobiegło do sieni otwartej.

— Jezus, Marya! — zawyła kobieta, poznając kurę własną.

— A to psiakrew, nie baba!—zaklął karbowy i, ciskając za siebie drugą kurę trzymaną, skoczył na drogę i znikł w stronie karczmy.

— A toż ten Kuba jest zwykłym łapikurą!—głucho jęknęła kobieta.

(D. n.)

Kto wie, czy nie o takiem właśnie smutnem przebudzeniu myślał poeta, czy nie przeczuwał czegoś podobnego do tej zniewagi, którą dziś jego pamięci wyrządzono, gdy z pod pióra jego wypływała ta wstrząsająca strofa: „I zasnę — zasnę — ba! — lecz przebudzenie? Niech los i serca szaleństwo zwycięża! Z mózgu mojego mieliście jedzenie, Lecz serce moje się jak łuk wypręża. Zrzuca was, głodne sępów pokolenie. Ugolin odbył piekło... Ognia fale! Wyrwijcie resztę sępom... Precz, szakale!“ *Wł. B.*

Urlopy bez pensyj.

Dotąd tylko przedsiębiorcy prywatni potrącali pensye swym pracownikom za czas wypoczynku. Obecnie ten zwyczaj zaczynają wprowadzać koleje żelazne. Wydział służby dochodów na kolejach Nadwiślańskich pozwolił urzędnikom swym korzystać z urlopu, ale z warunkiem, że przez cały czas wypoczynku nie będą pobierali pensyi. Wobec tego oczywiście nikt nie chce i nie może korzystać z urlopów, gdyż pozbawienie pensyi, chociażby na miesiąc, może urzędnika wtrącić w nędzę i sieci lichwiarskie. Coś podobnego dzieje się także w niektórych wydziałach kolei Wiedeńskiej. Niedawno pewien urzędnik, który w ciągu dwudziestopięcioletniej służby ani razu nie korzystał z wypoczynku, zażądał obecnie urlopu na dwa miesiące z powodu choroby, na co odpowiedział mu zwierzchnik: „Jeżeli pan dasz płatnego od siebie zastępcę, to możesz korzystać z urlopu.“ Dopiero na przedstawienie świadectwa lekarskiego znalazł się zastępca, płatny ze strony kolei. Niektórzy pracownicy korzystają z urlopów w ten sposób, że dają zastępców płatnych od siebie za połowę czasu otrzymanego na wypoczynek. System taki jest niesłychanym wyzyskiem i samowolą, gdyż niema wcale przepisów ogólnych w tej mierze. Panowie naczelnicy wydziałów tak łatwo dla siebie wyrabiający urlopy, są bezwzględni i okrutni dla pracowników zdolnych i sumiennych, których kosztem zaoszczędzają własne siły.

Drogi do stanowiska.

W każdem społeczeństwie są ludzie małych uzdolnień, a wielkich ambicyj; szukają oni za jakąbądź cenę dróg, które pozwoliłyby im wyjść z ciemnych kącików na widne miejsca, z zer stać się chociażby urojonemi wielkościami, zabłysnąć na krótką chwilę pożyczonem światłem. W naszych stosunkach, niesprzyjających zaspakajaniu takich ambicyj z powodu zbyt jeszcze mało rozwiniętego życia społecznego, niedostatecznej liczby stowarzyszeń i korporacyj, zapewniających tytuliki i zaszczyciki, tacy ludzie pragnący *coute que coute* być czemś, zwracają się do literatury i publicystyki. Pół biedy jeszcze, jeżeli taki pan poprzestaje na wypracowaniu jakiejś nowelki albo artykuliku i umieszcza go gdziekolwiek przez stosuneczki; gorzej się dzieje, gdy pragnie zostać literatem albo redaktorem pan, co ma kilkanaście tysięcy rubli i postanowił kupić sobie za nie stanowisko społeczne. Nabywa on jakieś chylące się do upadku pismo, albo zakłada nowe i oto znajduje się u celu marzeń. Mieliśmy i mamy dotąd pisma, prowadzone przez takich panów, którzy prócz paruset rubli i próżności nie posiadają żadnych innych kwalifikacyj na redaktora. Byliby oni nieszkodliwi, gdyby przynosili dobrą wolę stania się użytecznymi pracownikami, albo wydawcami; ale nie; „pan redaktor“ nie przynosi z sobą nic nowego, nie przemawia w niczyjem imieniu, bo nic nie przedstawia, nie ma żadnego kierunku, a w dodatku patrzy na prenumeratora, jak na odbiorcę zadrukowanej bibuły, obojętnego zupełnie na to, co mu na niej dają. Szybko tedy następuje rozczarowanie: wydawnictwo pochłania pieniądze, a czytelników niema; redaktor zaczyna się oglądać za poważniejszymi współpracownikami; widzi jednak, że jego propozycye nie odnoszą skutku; zbywają go obietnicami albo pracami bez wartości. Łudzi się jeszcze nadzieją przez czas jakiś, aż, wyczerpawszy swoje zasoby, usuwa się rozgoryczony. Nie zrozumiał biedak, że dziś nie zdoła utrzymać się pismo bez programu, bez kierunku, bezbarwne i niemające nic do powiedzenia społeczeństwu; skończyło się. Ogół czytający odwraca się obojętnie od pustego frazesu, od cudzych ambicyjek od zręcznych skoczków, od literackich sklepików chrześciańskich, od spłowiałych, niezdecydowanych barw... On szukać zaczyna ludzi z przekonaniami, z hasłami, szczerych, chce nazwisk i sztandarów. Smutne doświadczenie kilku zawiedzionych powinno posłużyć za przestrogę dla tych, którzy jeszcze patrzą na literaturę i działalność publicystyczną, jak na narzędzie dla zaspokojenia swojej próżności, jak na drogę, po której z nicości wedrzeć się można na świeczniki. *w.*

Umowy piśmienne.

Znana jest powszechnie dola prywatnych nauczycieli, szczególnie zaś nauczycielek domowych. Jaskrawe fakty wyzysku, krzywdy, poniewierki niejednokrotnie już były piętnowone w prasie. Ludzie skłonni do patrzenia przez szkła różowe na wszelkiego rodzaju stosunki z naszego życia, sądzą i tym razem, że są to fakty wyjątkowe, że nie można ich podnosić do znaczenia zjawiska stałego i powszedniego. Chcielibyśmy istotnie przykłady takie uważać za wyjątkowe, gdyby nie świeży objaw samoobrony i przezorności nauczycielek, który każe przypuszczać, że fakty uważane przez optymistów za wyjątkowe, nabierają w pewnej mierze znaczenia objawu ogólnego. Oto, jak donosi *Tygodnik ilustrowany*, liczny zastęp nauczycielek uznał za warunek konieczny zawieranie umów piśmiennych z rodzicami. W ostatnich czasach podobno już kilkanaście takich zobowiązań podpisały obie strony. Główne punkty są następujące: 1) Umowa obowięzuje przez rok. 2) Rok szkolny trwa 9 miesięcy. 3) Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy pociągają za sobą wakacye dwutygodniowe. 4) Umowa ma być zawierana przed wakacyami. Jeżeli z powodu wyjątkowych okoliczności którakolwiek strona zrywa ją, musi to koniecznie zrobić przed pierwszym września (?!). 5) Jeżeli nauczycielka daje lekcye pierwszy rok, w takim razie po uprzedniem zastrzeżeniu pierwszy miesiąc może być uważany za próbny i zobowiązuje lub nie, do zawarcia nadal umowy piśmiennej. Cofnięcie się przed nią powinno być nałożycie usprawiedliwione. 6) W razie choroby, trwającej dłużej, niż 10 dni, nauczycielka powinna dać zastępczynię. 7) Na wypadek czyjejkolwiek choroby zaraźliwej w domu, gdzie się odbywają lekcye, muszą one być przerwane bez straty dla nauczycielki. 8) Opłata za lekcye z pojedyńczym uczniem lub uczenicą uiszcza się z dołu co miesiąc, przyczem uwzględnić można najwyżej tydzień zwłoki po terminie. Lekcye zbiorowe pociągają za sobą opłatę miesięczną z góry. 9) Jeżeli umowa jest zawarta w ciągu roku szkolnego (tj. po 15 października), w razie przerwania lekcyj nauczycielka powinna być na miesiąc z góry o tem uprzedzona.

Tygodnik ilustrowany, podając wzór takiej umowy, jednocześnie zaznacza fakt znamienny, że w ostatnich czasach pewien adwokat wygrał naraz dwie sprawy nauczycielek pokrzywdzonych. Jest to właśnie wynik zawierania umów piśmiennych, które, jak widzimy, nie są czczą formalnością, lecz, niestety, smutną koniecznością obrony przed wyzyskiem i krzywdą. Jakkolwiek rodzice bardzo często czynią nauczycielkom całkiem słuszne zarzuty, że bez dostatecznego przygotowania, bez wszelkich zdolności biorą się do zawodu pedagogicznego i tym sposobem wyrządzają wielką krzywdę dzieciom,—z drugiej jednak strony wyzysk pracy nauczycielek, zatrzymywanie im zapłaty, są to fakty aż nadto dobrze wszystkim znane. Stąd właśnie powstała ta smutna konieczność zawierania umów piśmiennych, która jest pewnego rodzaju wyrzutem dla naszego ogółu i zarazem świadectwem nizkiego poziomu etycznego w pewnym zakresie. Jeżeli zaś umowę piśmienną nauczycielek zechcemy brać ze stanowiska naprawy bytu, musimy przyznać, niestety, że nie będzie ona miała wielkiego znaczenia praktycznego, gdyż na rynkach pracy nauczycielskiej zawsze jest nadmierna podaż, która większość zmusi do zaniechania umów i zdania się na łaskę zarobkodawców. Umowy takie możeby miały racyę bytu i moc obowiązującą tylko wtedy, gdyby istniała jakaś korporacya nauczycielska, z którą ogół musiałby się liczyć. *p.*

BADANIA NAUKOWE.

Aleksander Kraushar: *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk 1800—1832.* Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych. Księga I. Czasy pruskie 1800—1807 Z ilustracyami. Kraków—Warszawa, 1900.

P[illegible] prac Skarbka („Pamiętniki,“ Poznań 1878 i oddzielna rozprawa z r. 1860), Fr. Sal. Dmochowskiego („Wspomnienia,“ 1858), Kajetana Koźmiana (1865) i Wielisława (Skrodzkiego) (*Bluszcz*, 1878), istniejące niegdyś w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wymagało dokładnej monografii, zawierającej organizacyę tej instytucyi, obraz zajęć i dyskusyj uczonych członków. Dzięki Aleksandrowi Kraushalowi, który, korzystając z aktów pomienionego Towarzystwa, uczynił zadość naszym życzeniom, posiadamy pracę, stanowiącą bogate źródło dla dziejopisa kultury.

Rolę pierwszego u nas ministeryum oświaty odegrała komisya edukacyjna, instytucya wielce wzorowa, pielęgnująca rozwój umysłowości i pierwiastków humanitarnych. Mianowany przez rząd pruski prezydującym w departamencie Prus południowych radca Wilhelm Antoni von Klewitz, nazywa urządzenia tej komisyi „przedziwnemi“ (w memoryale berlińskim z 1805 r). Nawet ówczesny król pruski, Fryderyk Wilhelm II, jeszcze w r. 1794, o dziewięć lat wcześniej Klewitza uprzedził w tak pochlebnem zdaniu. Nie należy się atoli łudzić, aby zdanie to miało być pobudką do obudzenia ducha narodowego, bo od takich aspiracyj stronił Fryderyk Wilhelm II, dążący do germanizacyi, którą uważał za kamień węgielny potęgi państwowej. Pomocnikami jego w tej działalności, osłodzonej pozornym liberalizmem, byli: Jan Krzysztof Woelner, niegdyś pastor, a później nadradca finansowy i pierwszy minister, zawdzięczający swoje godności skandalicznemu ożenkowi z panną Itzenplitz i praktykom związku masońskiego „różanego krzyża.“ Równy mu co do wartości moralnej był Otto Karol Fryderyk von Voss, który zamierzał usunąć duchowieństwo od wychowania młodzieży, jak również utworzyć z funduszów jezuickich uniwersytet protestancki w Toruniu, a katolików zachęcić do słuchania wykładów uniwersyteckich we Frankfurcie nad Odrą. Następstwo po nim objął Karol Jerzy Henryk von Hoym (1739—1807r.). Ustąpił on znowu Vossowi (1798 r.), który, chcąc zdemoralizować

szlachtę, pożyczał jej kapitały państwowe i legaty różnych stowarzyszeń. Sumy te, pod nazwą „bajońskich,“ stały się łupem Napoleona. Dwaj ministrowie: Henryk Juliusz von Goldbeck i Eberhardt Wilhelm von Massow wyróżniali się od poprzednich zmiennością w przekonaniach politycznych. Nie ustępował Vossowi w zgubnej działalności Fryderyk Leopold von Schrötter (ur. 1743 r.), zwolennik filozofii Kanta. Wielki kanclerz pruski, Karol Fryderyk von Beyme (ur. 1765–1833), nie był pochlebnie notowany przez historyografów pruskich. Zasługą jest Hoyma, że bronił funduszu pojezuickiego od pożądliwości pruskiej, zwłaszcza Goldbecka. Niektórzy działacze obok propagandy germanizatorskiej przeprowadzali cele czysto natury kupieckiej. Do takich spekulantów należał Jan Fryderyk Reitemeyer (ur. 1755), profesor uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą i autor dzieła: „Geschichte der Preussischen Staaten“ (1801). Starał się on uzyskać u ministra Jana Henryka Meierotto przywilej dostarczania książek szkolnych w języku niemieckim z Frankfurtu nad Odrą, lecz minister, ze względu na inne firmy handlowe, odmówił prośbie profesora. Fryderyk Wilhelm II wydał w r. 1797 nową instrukcyę szkolną w duchu germanizatorskim. Syn jego, Fryderyk Wilhelm III, który tegoż roku objął rządy po śmierci ojca, zdawał się nieodstępować od tego programu. Według raportu Vossa znajdowało się wtedy w 224 miastach 223 szkół, w 9166 wsiach 489. Wyższych szkół było 12 t. j. 4 dawne kollegia jezuickie: w Poznaniu, Kaliszu, Warszawie i Łęczycy; 7 pijarskich: w Rydzyniu, Radziejowie, Piotrkowie, Wieluniu, Warzawie, Łowiczu i Górze; 1 krzyżacka (Kreutsherren Orden) w Rawic. Fundusz edukacyjny wraz z procentem wynosił około 60,000 talarów. Według projektu Vossa, uniwersytet frankfurcki miał być uczelnią dla młodzieży świeckiej i duchownej. Król jednak, co do teologów katolickich uważał za najodpowiedniejszy dla nich uniwersytet wrocławski. Meierotto i Gedicke, zwiedzając szkoły tutejsze w towarzystwie Jerzego Samuela Bandtkiego, naonczas tłómacza przysięgłego w Wrocławiu, przeświadczyli się poniekąd o bezskuteczności systemu germanizacyjnego, prowadzącego naród raczej do zdziczenia, aniżeli kultury. Pamiętnym jest w tym względzie memoryał Bandkiego, żarliwego orędownika narodowości polskiej. Domaga się, aby obok literatury niemieckiej pielęgnowano także polską. Wyraża przytem potrzebę założenia uniwersytetu polskiego i akademii umiejętności.

Ks. Jeziorowskiego wysłano do Szwajcaryi w celu zapoznania się ze słynną metodą Pestalozziego. Niejaki Witowski, Polak, wystąpił z projektem założenia uniwersytetu polskiego w Piotrkowie. Wykład miał być w języku polskim i niemieckim, z tego wszystkiego uwzględniono prośbę Bandkiego i założono w Warszawie liceum sześcioklasowe pod dyrektorstwem Samuela Bogumiła Lindego (1803). Dla zrozumienia tego stanu rzeczy, trzeba poznać prąd umysłowości polskiej XVIII w. Czem była rewolucya francuska dla zachodu, tem były prace sejmu czteroletniego dla Polski. Tu i tam nastąpiły nowe prądy, nowe pojęcia. Autor daje nam sylwetki tych mężów przełomowych, jak np. Naruszewicza, Krasickiego, Trembickiego, Karpińskiego i innych. Puławy, pod egidą książąt Czartoryskich, były ogniskiem, skupiającem wszystkie siły duchowe ówczesnej Polski. Obok Czartoryskich do najprzedniejszych mecenasów nauki i artyzmu należał Stanisław Sołtyk, eks-podstoli koronny, bratanek głośnego biskupa Kajetana. Był on gorliwym stronnikiem reformy. W domu jego w Warszawie, zbierali się wszyscy ówcześni uczeni i literaci z czasów pruskich. Pierwszy Sołtyk rzucił myśl założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Otwarcie nowej instytucyi odbyło się d. 16 listopada 1800 r., w domu ks. Jana Albertrandiego, przy ul. Kanonia № 85. Prezesem obrano ks. Albertrandiego, męża uczonego i wymownego. Posiedzenia publiczne odbywały się w domu ks. Pijarów. Miała też nowa instytucya antagonistę w osobie Kajetana Hebdowskiego, późniejszego generała za ks. Warszawskiego. Nie podziela on oportunizmu ks. biskupa zenopolitańskiego, usiłującego pod puklerzem pruskim pielęgnować mowę i literaturę polską.

Na posiedzeniu d. 15 maja 1802 r. prezes wyliczył szereg książek bądź już wydanych, bądź też będących jeszcze w opracowaniu, a mianowicie: ks. Piramowicza „Nauka obyczajowa dla ludu,“ ks. Aleksandra Sapiehy „Tablice miar i wag,“ Jana Śniadeckiego „O Koperniku,“ ks. Kamieńskiego „Gram. polską,“ Lindego „Słownik“ zapowiedziano: ks Piramowicza „Retorykę cz. II,“ Józefa Kalasantego Szaniawskiego „Logikę,“ ks. Zaborowskiego „Matematykę,“ Stanisława i Aleksandra hr. Potockich „Architekturę,“ ks. Aleksandra Sapiehy „Chemię,“ Konarzewskiego „Mineralogię“ i prace przyrodnicze Seydla, Jackiewicza i ks. Jundziłła, tudzież „Iliadę“ w tłómaczeniu Dmochowskiego. Między innymi poruszono projekt opracowania historyi, przerwanej zgonem Naruszewicza, co niesłuszną później wywołało krytykę stronnego, a przytem dosyć płytkiego historyka Juliana Bartoszewicza, który widocznie nie czytał przemówienia Albertrandiego. W głowie zacnego prezesa kiełkowała już płodna w następstwa myśl, abyśmy przez dzieła uczone, oryginalnie napisane, nietylko język swój zachowali od zagłady ale między obcymi znajomość jego snadnie rozpowszechnili, a nietylko o sobie, lecz o całym szczepie słowiańskim wydali pochlebne świadectwo.

W czerwcu t. r. zwiedził Warszawę Fryderyk Wilhelm z małżonką Luizą i braćmi Henrykiem i Wilhelmem. Korzystał z tego Albertrandi i uzyskał potwierdzenie Towarzystwa. Wnet zaprowadzono dziennik posiedzeń i zaproszono na członków honorowych Gabryela Dierżawina, poetę rosyjskiego i Józefa Dobrowskiego, znanego uczonego Czecha, chcąc w ten sposób okazać sympatyę dla narodów pobratymczych. Jenajska *Inteligenzblatt* poświęciła artykuł bardzo przychylny nowej instytucyi. W grudniu 1805 r. nadszedł list króla pruskiego, zawiadamiający o urzędowem zatwierdzeniu Towarzystwa, co było znacznym krokiem naprzód. Przybrano nowych członków honorowych: Telekiego, Bathyaniego i Szechenyego, który ofiarował Towarzystwu katalog dzieł węgierskich. Staszyc, dbały o siedzibę Towarzystwa, nabył od kapituły warszawskiej trzy spalone domy przyległe do Zamku i rozpoczął budowę nowego gmachu.

Mimo doniosłych zmian politycznych za Napoleona (1806 r.), posiedzenia, wierne swojemu programowi, unikały wszelkich aluzyj do spółczesnych sobie wypadków. D. 27 i 28 listopada 1806 r. weszły wojska francuskie do Warszawy. Deputacya wysłana od Towarzystwa powitała Joachima Murata, księcia Bergu i Kliwii. Prezes Albertrandi oznajmił, iż przyszłe posiedzenie odbędzie się w nowym gmachu na Kanoniach.

Resztę książki p. Kraushara zajmują przypiski i anneksa. Pochwalić musimy sumienność w opracowaniu i piękną swadę autora.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

C. Walewska: *Bez duszy*, fantazya powieściowa, str. 344 (Warszawa, Paprocki i Sp.). — W. Grot-Bęczkowska: *Marzycielka*, powieść współczesna, z przedmową T. Jeske Chołńskiego, str. 149 („Bibl. dz. wyb.“).— A. Suszczyńska: *Przekonana*, powieść str. 170 (Petersburg, Grendyszyński). — Ludwika Jabołkowska - Koszutska: *Z teki wrażeń*, str. 196 (Warszawa, Borkowski).

Z powodzi tak zwanych nowości naszej beletrystyki współczesnej wybieram tym razem nie bez rozmysłu cztery utwory powieściowe, które wyszły z pod piór niewieścich i zajmują się przeważnie lub nawet wyłącznie niemal charakterystyką różnych faz i stanów współczesnej duszy kobiecej. Dwa pierwsze należą do autorek, mających już w swym bagażu literackim po kilka tomów nowel i powieści; na dwóch innych spotykamy nazwiska, ukazujące się po raz pierwszy na okładkach książkowych.

Autorki dawniej znane nie wzniosły się jednak w swych nowych pracach ponad poziom szablonu i tuzinkowości. Dały nam utwory, przydatne może do zapełniania szpalt jakiegoś mniej wybrednego tygodnika „dla kobiet“ lub tomu „Biblioteki,“ której zawartość kłóci się dość często z epitetem tytułowym, lecz nie wzbogaciły piśmiennictwa garścią nowych a ciekawych spostrzeżeń nad życiem i, pomimo pozornego zagłębiania się w dusze swych bohaterek, trzymały się wytrwale na ich powierzchni. Jest to tem dziwniejsze, że p. Cecylia Walewska w poprzednio wydanych zbiorach utworów powieściowych wykazywała nieraz wcale nietuzinkową znajomość pewnych, najczęściej odstępujących od t. zw. normy, stron duszy kobiecej, a i p. Grot-Bęczkowska zdobyła się już parę razy na udatne i zajmujące obrazki z życia wsi i małego miasteczka. Tym razem siły nie dopisały zamiarom. A zamiary były rozległe...

Oto p. Walewska chciała odmalować w swej powieści przeistoczenie się i odrodzenie wewnętrzne bezdusznej lalki salonowej, pod tchnieniem pierwszej, spóźnionej dobrze, ale prawdziwej miłości. Lalek bezmyślnych nie brak w naszem otoczeniu najbliższem, powieściopisarka wolała jednak wyszukać dla swego utworu mniej powszednie tło i mniej pospolitych bohaterów. Więc, jak Sienkiewicz w „Na jasnym brzegu“ i niektórych rozdziałach „Rodziny Połanieckich,“ tylko naturalnie bez jego talentu i plastyki, przenosi nas w kosmopolityczną sferę bogatych próżniaków, zgromadzonych na „wypoczynek“ letni na jakiejś małej wysepce, i każe poznać się tam i zbliżyć do siebie dziwnej dosyć parze mieszańców, złożonej z owej właśnie bezdusznej pani Nuny Zarzeckiej, która tu przyjechała, zdoławszy uwolnić się na czas jakiś od towarzystwa wstrętnego jej, lecz bardzo bogatego męża, i ze znakomitego malarza Jerzego Nordena, któremu względem niej przypadła w udziale wdzięczna rola Pigmaliona. Jej matka była Włoszką, ojciec — Polakiem; jego matką była Polka, ojcem — Niemiec, lecz mimo te zawiłe kombinacye rodzinne, mimo wkręconą w jakiś sposób sprawę wykupu od hakatystów niemieckich rodzinnego majątku matki Nordena, kosmopolityczna para bohaterów nie budzi w nas żywszego zajęcia i pozostaje nam obcą do końca.

Więc zamiast ciekawego zagadnienia psychologicznego, mamy ostatecznie bla-

de dosyć opisy, szereg nagromadzonych bezładnie scen i dużo, bardzo dużo słów, niewyjaśniających zresztą bynajmniej najciekawszych momentów psychicznych. Wiemy, że Nuna jest bezduszną, bo nas o tem wielokrotnie zapewnia autorka, każąc jej w odpowiedni sposób postępować, ale istotne, głębiej ukryte motywy tego postępowania, od porzucenia pierwszego męża i dzieci dla powozu, koni i salonów Zarzeckiego, aż do rzucenia się w objęcia umierającego na suchoty dziwaka i samoluba i pełnienia przy nim w chwilach ostatnich roli siostry miłosierdzia — są dla nas w gruncie rzeczy nieznane. To samo Norden: słyszymy dużo o jego bogatem życiu wewnętrznem, lecz tego bogactwa nie widzimy. Mamy przed sobą nie jakąś pociągającą, mimo wszystko, bajroniczną postać wielkiego artysty, odludka i mizantropa, jaką, zdaje się, chciała stworzyć autorka, lecz pospolitego dosyć a bardzo bezwzględnego egoistę, co naturalnie czyni jeszcze mniej zrozumiałym cały ów proces wewnętrzny, odbywający się w duszy pani Nuny, której imię właściwe pozostaje dla nas również zagadką aż do końca. Nieuchwytności i bezkrwistości tych dwóch głównych, w powietrzu niejako zawieszonych postaci, oraz uderzającego braku istotnego wątku dramatycznego— nie może okupić ani szlachetna myśl zasadnicza utworu, ani kilka rozrzuconych tu i owdzie scen żywszych i plastyczniejszych, których liczba wzrasta ku końcowi.

P. Teodor Jeske-Choiński, w niepozbawionej błędów językowych przedmowie do „Marzycielki," zapewnia nas, że z utworów powieściowych p. Wandy Grot-Bęczkowskiej 'wieje „zdrowie moralne" i że unosi się nad nimi „uczciwa tendencya, świadcząca o poczuciu obywatelskiem autorki." Nie myślę przeczyć, tylko że w dziełach sztuki, do których pragnąłbym szczerze zaliczyć i powieści, wydawane przez „Bibliotekę dzieł wyborowych," wyżej jeszcze od zdrowia moralnego i uczciwej tendencyi, poręczonej nawet przez taką w tych rzeczach powagę, cenimy podobno pewien drobiazg, zwany artyzmem, a tego znów w „Marzycielce" doszukać się w żaden sposób niepodobna.

Jest to naiwne lub obliczone na grubą naiwność czytelników opowiadanie, mające, zdaje się, przekonać czy dowieść, że prawdziwie artystyczna dusza nie może sobie usłać gniazda rodzinnego. Zakochana poprostu w fortepianie Anna Starzeniecka, ni z tego, ni z owego, tak sobie, „dla sprawienia radości mamie," zaręcza się z gruboskórnym właścicielem pięknego folwarku, nieznoszącym muzyki i niemogącym zrozumieć artystycznych uniesień narzeczonej. Ania wyjeżdża z matką do Reinertz i zakochuje się tam w uwielbianym oddawna mistrzu fortepianu Bardzkim, a tymczasem narzeczony jej, Leon Skalski, któremu jechać za sobą zabroniła, przychodzi stanowczo do wniosku, że kokietująca go zręcznie, gospodarna i obdarzona bardzo miłym „temperamencikiem" kuzynka Ani, Helenka, która i tak już zabierała za nią wszystkie jego bukiety, będzie pod każdym względem odpowiedniejszą żoną dla niego. Rzecz się załatwia odrazu, zwłaszcza że i matka Leona podziela w zupełności ten pogląd. Bardzki z drugiej strony bardzo prędko uznaje Anię za odpowiednią towarzyszkę życia, ale ta, choć zakochana szalenie, nie wyjdzie, rzecz prosta, za niego, nie chcąc zrobić przykrości zacnej pani Ludzie, u której na wsi, w Osinowie, wielki artysta spędzał różnymi czasy wiele chwil przyjemnych, dzięki czemu „odpychał on od siebie wszelkie sidła i uroki niewieście i zachował zdrowie (!), wrażliwość uczuć, serce niewyjałowione," a i teraz jeszcze „posyłał pani Ludzie kiedy niekiedy telegraficzne o sobie wzmianki i tąż drogą odbierał od niej odpowiedź..."

Gdyby jednak Ania nie wpadła była na myśl „sprawienia radości" najpierw mamie, a potem zacnej pani Ludzie, ciekawa rzecz, coby się było stało z powieścią. Kto wie, czytelniku, czy nie stracilibyśmy bezpowrotnie dwóch wspaniałych opisów koncertów, po których „w sali panowała cisza, *więcej zaszczytna* od najhuczniejszych oklasków" (str. 77); czy nie pozbawionoby nas pewności, że pomiędzy panią Ludą a Anią, *stwierdzającemi w szczegółach najdrobniejszych swoją kobiecość*, nerwy Bardzkiego uciszają się"; czy wreszcie reporterzy otrzymaliby równie piękny wzór do naśladowania, jak ten oto zwrot: „Dziwił go głęboki i poważny pogląd Ani na sztukę i wielkie umiłowanie *tejże*" (str. 120). Więc lepiej może się stało, że panna Ania miała chlubny zwyczaj sprawiania innym radości..

To wnętrze duszy kobiecej, które okrążały z daleka dwie autorki poprzednie, potrafiła pod pewnym względem przynajmniej otworzyć przed nami nieznana dotąd w literaturze p. A. Suszczyńska. Jej „Przekonana" — to właściwie, poprzedzony krótkim wstępem i zakończony krótszym jeszcze epilogiem, zbiór listów młodej, kształcącej się w Paryżu artystki, która w danej chwili bawi czasowo u krewnych na wsi, do studyującej za granicą medycynę siostry starszej i zarazem przyjaciółki serdecznej. Listy, pisane z zupełną naturalnością i swobodą, niewyłączającą zresztą delikatności w dotknięciu piórem niektórych stanów duchowych, przypominają chwilami, nie treścią, lecz sposobem traktowania przedmiotu, jedną z nowel Ignacego Dąbrowskiego. Malują nam one w sposób zajmujący otoczenie wiejskie młodej artystki, kreślą w kilku rysach trafne sylwetki jej kuzynów-studentów i, przechodząc stopniowo z tonu zwyczajnej sielanki na nutę coraz bardziej dramatyczną, pozwalają nam przyjrzeć się z bliska trochę znużonej już życiem, lecz sympatycznej duszy bohaterki utworu. Przekonanie się o rzeczywistej miłości narzeczonego okupuje Helena zbyt drogo, bo — ceną życia. Tragiczne to zakończenie jest może niezupełnie usprawiedliwione, gdyż wcześniejszy przyjazd siostry mógłby był zapobiedz katastrofie, ale całość utworu nosi niewątpliwe znamię świeżości talentu, niepozbawionego pewnej żywiołowej siły, pozwalając rokować pomyślnie o dalszych pracach autorki. Szkoda, że młoda powieściopisarka 'nie zdołała ustrzedz giętkiego wogóle i swobodnego stylu od pewnego przeładowania usprawiedliwionymi poniekąd, ale nie w tym stopniu, frazesami francuskimi i, co gorsza, od paru zwrotów wprost nieprawidłowych: „Czy pamiętasz tę żółtawo-różową (suknię), *którą obiecułam ci, że nie będę nosić?*" (str. 75). „Czy można leczyć się *od tego?*" (str. 125). Ale są to naleciałości, *z których* wyleczyć się nie byłoby może zbyt trudno...

W utworze p. A. Suszczyńskiej mamy wyłącznie prawie do czynienia z różnemi fazami miłości, obejmującej stopniowo przeżytą już trochę duszę młodej kobiety i doprowadzającej ją w końcu do mogiły. O wiele szerszy widnokrąg roztacza przed nami p. Ludwika Koszutska (*Prawda* drukowała przed paru laty ładną jej nowelę pod tytułem „Odpowiedź," podpisaną pseudonimem Lasota)— w swym zbiorze luźnych dosyć spostrzeżeń i uwag, ironicznych uśmiechów i głębszych od nich, a zazwyczaj ukrywanych przed światem, westchnień tęsknoty, objętych wspólnym tytułem „Z teki wrażeń." Napróżno tylko autorka przywdziewa potroszę maskę cudzą, podając swe własne, w znacznej części przeżyte niewątpliwie, myśli i wrażenia w formie dziennika mężczyzny. Kobiecość jej, nie ukrywana zresztą za przyłbicą pseudonimu męskiego, uderza niejednokrotnie w wielu drobnych, ledwie uchwytnych, lecz niezawodnych szczegółach, czyniąc przebranie owe niepotrzebnem, czasem nawet psującem trochę dodatnie na ogół wrażenie.

Jest to pewnego rodzaju spowiedź istoty nawskroś współczesnej, dotkniętej owym charakterystycznym fermentem niezadowolenia z rzeczywistości obecnej, szukającej i nie mogącej znaleźć dokoła siebie urzeczywistnienia wymarzonego ideału, a ukrywającej wstydliwie, jak grzech śmiertelny, głęboką do niego tęsknotę. Rzeczywistość budzi w niej najczęściej gryzącą ironię lub sarkazm bolesny, w którego szyderczym śmiechu nie każde ucho odróżnić potrafi tłumioną nutę ukrytej gdzieś głęboko łzy.

Wielostronna wrażliwość i subtelny krytycyzm stanowią zasadniczą cechę tej przebranej po męsku duszy. Ostrze krytycyzmu zwraca się nieraz w kierunku dośrodkowym, budząc niezadowolenie z siebie samej, to znów doprowadza do pewnej przesady, wywołując sądy paradoksalne i niesłuszne, lecz w pewnych stanach duszy zrozumiałe. Stąd nieraz, zazwyczaj świadomie, autorka przeczy samej sobie, krytykując ostro w kartkach następnych to, co w poprzednich mówiła, lub nawet potępiając w czambuł cały swój sposób tworzenia. „Można mieć dobry gust, a swoją drogą partać szczęśliwie. Mogę wielbić Flaubert'ów i Balzac'ów, a iść tym szlakiem, co wszyscy dzisiejsi. Liberya schyłkowców świeci się na mnie z całym arsenałem wstrętów, wstręcików, nerwów, i głupiej gawędy wobec dusz innych. Nie udali mi się inni, obleca ich szpecę karykaturą, a wnętrze pozostawiam we mgle niewyraźnej. Nastrój nadaje im barwy, a chimera kontury. O sobie boją się gadać. Człowiek jest pełen siebie, a zarazem odczuwa straszną wewnątrz pustkę. Pewnym rzeczom nie wystawia dokumentu przez wrażliwość wielką, innym przez lęk. Głąb serca tyle kryje smutków, że strach jej dotknąć. Omijam jedno i drugie i wędruję niezmiernie znużony wśród ludzkiej galeryi. Patrzę po wierzchu, sądzę po wierzchu, a wszystko, i świat i siebie, otulam w płaszcz nieszczerego psychologicznego szczebiotu."

P. Koszutska zna siebie dobrze; widzi swe wady i przez usta bohatera swego otwarcie się do nich przyznaje: „Żałuję ogromnie, że za mało jestem plastykiem, aby w obrazach życia przedstawić charakter Bronki. Pojmuję ją dobrze, a piszę o niej bez barw i konturów." Ten brak plastyki daje się dostrzedz istotnie, nie wyłącza jednak dużego zasobu spostrzegawczości, trochę może rozpraszającej się na szczegóły, jednostronnej, lecz bystrej i niewątpliwej. Autorka przesuwa przed nami szereg zajmujących postaci, nader trafnie i dowcipnie, lecz zawsze sylwetkowo, podkreśla w nich ten i ów szczegół, o całość wyrazistą i plastyczną kusząc się rzadko. Ironizuje chętnie, ukrywając uczucia właściwe. W paru miejscach tylko wyrywają się one z jej duszy, a te szczere wylewy serca to niewątpliwie najlepsze kartki książki. Zaliczyłbym do nich przedewszystkiem prawdziwie wzruszające wyznanie, wydzierające się mimowoli z duszy pod wrażeniem wspaniałego widoku z Zawratu, kiedy to, jak się skarży autor pamiętnika, „falą wspomnień podchodzi do gardła to wszystko, czego pragnąłem, a co nie dla mnie było, czego szukałem, a nie mogłem znaleźć... A dalej kilkanaście ostatnich kartek książki, oddających tak dobrze tłumiony krzyk serca, tracącego na zawsze swój skarb najdroższy.

Brak miejsca nie pozwala na dłuższe cytaty i wyjątki, zaznaczę więc tylko, że gdyby nawet wszystko inne, prócz tych paru ustępów, było w „Tece wrażeń" pani Koszutskiej „literaturą" tylko, że użyję określenia, powtarzanego dziś często za

Przybyszewskim, to i tak utwór jej zasługiwałby na wyróżnienie zaszczytne z powodu tak zwanych „nowości...“

Wł. Bukowiński.

JAN RUTKOWSKI
(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Przed laty mniej więcej dziesięciu w *Kuryerze warszawskim* zwracały nieraz uwagę drobne utwory poetyckie, nacechowane zawsze wykwintną formą, często myślą głębszą, szlachetną, to znów jakąś melancholią tęskną, a ukazujące się stale bezimiennie w rubryce „baniek mydlanych.“ Niewtajemniczeni jeszcze wówczas w sprawy wielkodziennikarskie, wyrażaliśmy przed kimś zdziwienie, dlaczego redakcya pisma okrywa maską bezimienności i spycha w kącik skromny takie ładne rzeczy, prawdziwą ozdobę swych szpalt, któraby niewątpliwie umiano gdzieindziej ocenić należycie, może nawet wysunąć na plan pierwszy. Odpowiedziano, że autorem tych poetycznych „baniek mydlanych“ jest młody poeta i nowelista, Jan Rutkowski, że on tę rubrykę prowadzi stale w *Kuryerze*, a bezimienność jest w niej zasadą...

Tak więc poecie, rwącemu się całą duszą do widnokręgów szerokich, kazano przez wiele lat tłomaczyć z pism obcych lub fabrykować naprędce ku uciesze mieszczuchów — mniej lub więcej bezmyślne dowcipy i koncepty, pomiędzy które, posłuszny głosowi natury, umiał on wcisnąć od czasu do czasu prawdziwą perełkę natchnienia. Już wtedy wydawało nam się to dziwnem i smutnem; dziś, gdy nić pajęcza twórczości Rutkowskiego przerwała się tak prędko na zawsze, gdy przędza, wysnuta z niej, wywiera wrażenie cennej, lecz niewykończonej koronki, poszarpanej w wielu miejscach złośliwą ręką losu, zaczynamy rozumieć, że było to nawet tragicznem. I do wielu przyczyn jego przedwczesnej śmierci (urodził się w r. 1859, liczył więc zaledwie 42 lata), oraz tej rdzy gryzącej, która w ostatnich latach na duszy jego osiadła, nie wahałbym się dziś dodać jednej jeszcze, nie mniej ważnej, choć mniej może od innych uderzającej w oczy — Rutkowskiego zabiły nietylko suchoty, zniechęciła do życia nietylko głuchota wieloletnia: do tych czynników dodać jeszcze należy powolne, lecz nieustanne działanie zabójcze zgubnego dla natur subtelniejszych Molocha dziennikarskiego, który świeżo uronił nad jego mogiłą kilka łez konwencyonalnych.

Rutkowski nie był stworzony na dziennikarskiego wyrobnika pióra w warszawskiem znaczeniu tego wyrazu. Świadczą o tem początki jego działalności literackiej na szpaltach *Prawdy*, gdzie prędko zwrócił na siebie uwagę, jako zdolny nowelista i fejletonista, poruszając chętnie pierwszorzędne sprawy społeczne; świadczą dwa zbiory nowel i szkiców („Pajęczyna“ i „Testament Hopkinsa“), które się ukazały osobno; świadczy wreszcie mnóstwo cennych drobiazgów, zasypanych w piasku dziennikarskim, w którym powoli i talent jego zagrzęznąć musiał. Potrzeby życia pchnęły go pod koła tego młyna, który u nas, wobec niedostatecznego zróżniczkowania dwóch różnych sfer działalności, zmełł już na miazgę tyle talentów wybitnych i wciąż nowe ofiary pochłania. Wśród piasku dziennikarskiego, który na potrzeby bieżące wytwarzać musiał, błyszczy jednak wiele ziarn czystego złota. Ci, którzy dziś tak głośno mówią o swej przyjaźni dla zmarłego poety, nie pozwolą zapewne ziarnom tym zaginąć na zawsze.

Wł. B.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

DRAMAT. S. Przybyszewski: „Taniec miłości i śmierci,“ „Złote runo.“ Nakład księgarni Polskiej we Lwowie. Skład u Wendego.

ASTRONOMIA. Tisserand: „Szkice astronomiczne.“ Zebrał i przełożył M. H. Horwitz. — Gebethner i Wolff.

— Clemence Royer: „Histoire du ciel.“ Paris Schleicher.

PRZYRODA. George Toudouze: „La conquete des mers.“ Paris. Schleicher.

ZDROWIE PUBLICZNE. „Nowy szpital Dzieciątka Jezus.“ Nakład Tow. hygienicznego.

— Dr. Rychliński: „Opieka nad umysłowo chorymi w Europie w XIX w.“

— Dr. Jaworski: „O przesądach i zwyczajach ludu naszego, dotyczących pomocy dla rodzących i opieki nad noworodkami.

FILOZOFIA. T. Trzciński: „Kosmozoficzne poglądy Mickiewicza.“

SPOŁECZNE. Fr. Bujak: „Maszkienice, wieś powiatu Brzeskiego. Stosunki gospodarcze i społeczne.“ Nakład Akad. Um. w Krakowie.

— E. Dutlinger: „Stowarzyszenia spożywcze,“ szkic ekonom. Nakład *Gońca handl.* Skład u Centnerszwera.

BUCHALTERYA. H. Chankowski: „Wykład popularny buchalteryi amerykańskiej.“ Cena 1 rb.

POEZYE

NASTRÓJ.

Suchy step. Dawno z jego krzów i ziół
Białawy opar po świecie się snuł.

Uniósł się opar, wsiąknął w nieba sklep,
Pachnie krzów suchych i ziół pełny step.

Na gęstwach łodyg biały osiadł puch,
Przecz go nie zdmuchnie żaden wiew i ruch.

I milczą puszcze skrzyżowanych traw
I kępy dziewann, nakształt piasku ław.

Suche źdźbła, trawy, kwiaty, krzewy, wrzos:
Jak zgotowany na ofiarę stos.

Hej! kiedyż padnie ze słonecznych nieb
Cudowna iskra w nastrojony step?

Hej, obyż padła w kwiecie, mech, krze, chwast,
Jakby idea i jak jedna z gwiazd!

Jakżeby złoto gorzał step i brzmiał;
Jak ognistego morza brzmiący szał!

Jakżeby pachniał stepu dawny szum:
Jako kadzenie uroczystych Sum!

Iskry niebieskiej oczekuje step,
Niebieskiej iskry czeka suchy step...

Kazimierz Lubecki.

SPRAWY EKONOMICZNE

HANDEL DETALICZNY.

I.

Niema pono historyka z obozu liberalnego, któryby przy sposobności nie wypowiedział kilku uwag uszczypliwych z powodu szlachty gardzącej „łokciem a miarką“; mniej zaś znajdziemy historyków takich, którzyby starali się wyjaśnić swe pogardliwe traktowanie stanu kupieckiego. Wyjaśnienia takiego szukać należy w charakterze, jaki handel przybierał w społeczeństwach niekapitalistycznych. Dla „ojca ekonomii politycznej“ wprawdzie „skłonność zamieniać jedną rzecz na drugą“ jest „wrodzoną człowiekowi“ *), dla niego człowiek z natury jest handlarzem. W rzeczywistości wszakże nawet w społeczeństwach klasycznej starożytności, a tem bardziej w społeczeństwach średniowiecznych — nie mówiąc już o innych formach społecznych — handel odgrywa nader podrzędną rolę. Były to bowiem społeczeństwa oparte na formie produkcyi, przy której gospodarstwo każde wystarczało samo sobie. Wyjątkowo tylko istniała produkcya z celem zamiany, a tem samem handel musiał z konieczności poprzestać na szczupłych rozmiarach. Nawet w tych wypadkach, gdzie zachodzi zamiana, odbywa się ona przeważnie bez współudziału kupca: sprzedawcą jest najczęściej wytwórca, nabywcą spożywca bezpośredni. Głównym przedmiotem handlu są tu towary przywożone z krain dalekich, a więc przedewszystkiem przedmioty zbytku, a obok tego istnieje tu i owdzie „kramarz,“ przekupień. Dopiero w wieku XVI, po wielkich odkryciach geograficznych, kupiec-żeglarz odgrywa pokaźniejszą rolę w życiu społecznem, a handlarz, kupiec detalista, występuje gromadnie na widownię później jeszcze, dopiero wtedy, kiedy podział pracy społecznej i gospodarstwo zamienne poczyniły znaczne już postępy.

To też zarówno w starożytności, jak i w wiekach średnich, kupiec — jeżeli pominiemy miasta portowe i kolonie kupieckie na wyspach morza Śródziemnego, jest jakby intruzem, obcym, żyje nie tak, jak inni. Przedewszystkiem zaś patrzą na niego wszyscy z niedowierzaniem i wyrazy „kupiec“ a „oszust“ stają się niemal synonimami. To też filozof i moralista z lekceważeniem i pogardą mówi o handlu. Arystoteles mówiąc w swojej „Polityce“ o sprawach gospodarczych, zaznacza różnice pomiędzy „ekonomiką“ a „chrematystyką.“ W *ekonomice* chodzi o czynności gospodarcze, mające na celu zaspokojenie potrzeb człowieka; *chrematystyka*, to groszoróbstwo, to czynność gospodarcza, mająca na celu pomnażanie bogactwa, gromadzenie pieniędzy. Do ekonomiki tedy zalicza się wszystko, co dotyczy produkcyi — a produkcya w Grecyi ówczesnej służyła na pokrycie potrzeb własnego gospodarstwa — oraz handel zamienny, którego celem było zaspokojenie potrzeb tego gospodarstwa, a więc handel, jaki odbywał się bezpośrednio pomiędzy wytwórcą sprzedającym to, co mu zbywa, a spożywcą. Chrematystyką zaś zajmuje się finansista; był nim dzierżawca podatków, „celnik“—lichwiarz i kupiec. Kupiec bowiem nie po to nabywa przedmiot, by go użył, lecz po to, aby handlując gromadził zysk. O tej tedy chrematystyce mędrzec grecki wyraża się z przekąsem, pogardliwie. U ojców kościoła oczywiście kupiec podlega surowej krytyce. Chrysostomos np. powiada: „Ktokolwiek kupuje dla zysku ze sprzedaży, a przedmiot sam został bez zmiany, ten równa się owym przekupniom, których wygnano ze świątyni.“ Cassiodozos nazywa wprost handel oszukaństwem. Augustyn, przyjmując ogólnie poglądy Arystotelesa, nie potępia tak ryczałtowo handlu, jak tamci, sądzi jednak, że „trudno ustrzedz się złego przy handlu.“

Z rozpowszechnieniem się kupiectwa w wieku XVI, wzmaga się też śród ogółu nienawiść ku niemu i autorowie ówcześni srodze napadają na „handel lichwiarski.“ Taki np. Marcin Luter powiada: „Gdyby pozwolić na to, ażeby każdy sprzedawał towar tak drogo, jak sam zechce, pożyczał na procent i brał zastawy, jednocześnie zaś gdyby chciano radę i naukę dawać, jak ten człowiek ma pozostać chrześcianinem z sumieniem czystem i spokojnem, byłoby to samo, co dawać radę i naukę, jako ma

*) Smith: „O bogactwie narodów.“ Ks. I, rozdz. 2.

być bezprawie prawem, złe dobrem i jako postępki i czyny przeciwne prawu bożemu mogłyby być zarazem zgodne z prawem bożem Kupiec, który korzysta z potrzeby ludzi, sprzedaje towar drogo dlatego tylko, że innym go zbrakło, jest — „jako publiczny złodziej, zbój i lichwiarz.“ Dalej powstaje na „praktyki przebiegłe“ kupców, którzy to „kładą do piwnicy wilgotnej towary, jako pieprz, imbir, szafran, aby stały się tam wilgotne, przez co wagi im przybywa,“ oraz „korzyści szukają w tem, jak mierzą, liczą, ważą, albo też nadają towarom kolory, jakich same przez się nie mają.“ To też nie wzrusza teologa skarga kupców na rycerzy i rozbójników, którzy łupią obozy kupieckie; upatruje on w tem karę bożą: „Tak używa Bóg tych najezdników i zbójów i karze przez nich bezprawia kupców; są oni jako dyabły jego, tak jak karał dyabłami Egipt i trapił go nieprzyjacielem. Tak więc biczuje on jednego łajdaka innym łajdakiem, co wszelako nie znaczy, aby ci rycerze byli większymi zbójami, niż kupcy, tem bardziej, że kupcy codzień ograbiają świat cały, a rycerz złupi raz albo dwa do roku jednego lub dwu kupców“ *).

Podobne poglądy, tylko mniej dosadnie wypowiedziane, można spotkać u wszystkich niemal autorów współczesnych, ile razy dotkną sprawy kupiectwa. Nie ulega też kwestyi, że poglądy te były uzasadnione: handel szedł w parze z rabunkiem, mordem i pożogą tam, gdzie kupiec stawał się zdobywcą (wojny kolonialne, połów niewolników i wyrznięcie ludności całych krajów) oraz był nieodłącznym od zdzierstwa, oszustwa, lichwy, gdzie kupiec miał do czynienia z ludnością krajów cywilizowanych.

Znacznie jeszcze później taki Vauban, Quesnay, Turgot mają niebardzo pochlebne zdanie o kupcach - wydrwigroszach. Lecz nawet ów Adam Smith, ogłoszony niesłusznie bezwzględnym obrońcą interesów handlarzy, niedowierza im. Powiada on np.: „Interesy kupców w każdej niemal gałęzi handlu i przemysłu są do pewnego stopnia różne od interesów ogółu, a często wręcz im sprzeczne.“ To też radzi on mieć się na baczności, kiedy ta klasa występuje z projektem praw, „te albowiem projekty pochodzą od stanu, którego interes nigdy nie jest zharmonizowany z interesem ogółu, lecz przeciwnie stan ten zazwyczaj chce oszukać i pognębić ogół, i rzeczywiście w wielu wypadkach zdołał oszukać i pognębić społeczeństwo.“

Dopiero w XIX stuleciu zmieniają się radykalnie stosunki i pod koniec wieku handel staje się *noli me tangere*. Kiedy np. przed kilku laty prof. Plater w Zurychu odważył się wypowiedzieć z katedry zdanie, że zyski handlarzy w znacznej części pochodzą z nieczystego źródła, z wyzysku nieświadomości spożywców, wnet w radzie związkowej Szwajcaryi wniesiono interpelacyę, a rząd rzeszy z trudnością mógł obronić swobodę nauczania przed zagniewanymi handlarzami jedwabiu, którzy stanowią najbardziej wpływową grupę kupiectwa szwajcarskiego. Cała też prasa mieszczańska na Zachodzie, a pono i u nas, jak jeden mąż staje przeciwko śmiałkom, którzy odważają się dotknąć „honoru stanu kupieckiego.“ Ta obrona interesów kupieckich odgrywa nawet rolę w pedagogice. Trudno bowiem znaleźć „wypisy,“ przeznaczone dla szkół średnich, w których nie byłoby rozprawki z apoteozą handlu, a śród tematów do ćwiczeń, zadawanych uczniom wyższych klas, temat o „znaczeniu handlu“ powtarza się stale, co tem bardziej dziwić powinno, że jest to jedyny temat zaczerpnięty z dziedziny zjawisk ekonomicznych. Wpaja się tedy w umysły młodociane pojęcie o handlu, jako o czynniku kulturalnym, łączącym narody itd., co może być słusznem, lecz należałoby też wspomnieć o stronie odwrotnej medalu.

Przecież fakt pozostaje faktem, że i dziś istnieje ze szkodą ogółu cały szereg „praktyk“ kupieckich niebardzo czystych. Oto przykład świeżej daty: W kwietniu r. b. sądzono w Hamburgu sprawę o fałszowanie kawy; chodziło mianowicie o to, że kawę brazylijską zabarwiano indygiem, nadając jej pozór kawy, pochodzącej z Portorico, a więc sposób, zgromiony przez Lutra: nadawano towarowi „barwę, której nie ma z natury swojej.“ Jednakże rzeczoznawcy orzekli, że „objektywnie biorąc, istnieje wprawdzie fałszerstwo,“ lecz takie farbowanie praktykuje się od lat sześćdziesięciu w „handlu rzetelnym“ (*im legitimen Handel*) i tego było dosyć, by oskarżonego uwolniono od odpowiedzialności. Tak samo w „rzetelnym handlu“ jedwabiem stale odbywa się oszukiwanie publiczności. Wszystka prawie włóczka jedwabna, sprzedawana na wagę, bywa „obciążaną“; nabywca płaci za jedwab, a otrzymuje 10—50% wagi cukru lub soli mineralnych. Ta sama manipulacya odbywa się z tkaninami. Przędza jedwabna jest nasycana solami minerałów ciężkich, wskutek czego włókno pęcznieje i w ten sposób na łokieć tkaniny wychodzi mniej przędzy. Prawie wszystkie materye jedwabne tanie w ten sposób są fałszowane. Tak samo „rzetelny handel“ win stale posługuje się oszustwem: Odbywa się tu regularnie „przedłużanie wina,“ jak brzmi termin techniczny, tj. mieszanie lichych, kwaśnych win z wodą ocukrzoną, przyczem następnie wlewa się do beczki kilka butelek starego, dobrego wina, dla nadania aromatu: stale też praktykuje się zabarwianie za pomocą kalomelu, palonej skórki chleba itp. Fałszerstw towarów kolonialnych nie można byłoby spisać na wołowej skórze, a przecież nietylko w handlu kawą, wiele z tych fałszerstw uchodzi w kompanii grzesznej „rzetelnych kupców.“ Tak samo też powtarza się stale oszustwo co do miar i wag. Pamiętam np. opowiadanie, słyszane w dzieciństwie, kiedy to jeszcze zboże sprzedawano na miarę, nie na wagę. Kiedy chłop odstawiał zboże do kupca, dozorca śpichlerza wołał: „Podać tu Maćka!“ — i przynoszono korzec, który zawierał 34 garnce i tym mierzono. Gdy odstawiał zboże dwór, mierzono „panem Maciejem,“ korcem zawierającym 33 garnce; dopiero kupcy pomiędzy sobą handlując, używali korca właściwego, który zawierał miarę normalną. „Żarcik taki pośród kupców uchodził, mówiono o nim bez najmniejszych skrupułów etycznych. A cóż dopiero mówić o codziennie praktykowanych drobnych oszustwach na miarze i wadze w handlu detalicznym, zwłaszcza w sklepach i kramach pomniejszych, gdzie kupuje ludność uboższa?

Aleć to już nie nowina.
Sowito płaci chudzina—

jak powiada imć pan Rej z Nagłowic.

Pod tym więc względem rzeczy zostały po staremu; jak istniała, tak istnieje „etyka kupiecka“ o pojęciach moralnych nader rozciągliwych. Po staremu też znaczna część zysków kupieckich pochodzi z wyzyskania nieświadomości zarówno wytwórczej, jak i spożywczej, oraz z bezpośredniego oszustwa. Więc gdyby to było rzeczą możliwą, należałoby z życia ekonomicznego usunąć kupca, a zwłaszcza owego kupca detalistę, kramarza i przekupnia. Lecz oczywiście jest to niemożliwe. Skoro cały byt gospodarczy społeczeństwa jest oparty na zamianie oraz na wyzysku, niepodobna usunąć z zamiany samej wyzysku, zdzierstwa i oszustwa. Zmiana nastąpić tu może tylko w miarę stopniowego przekształcenia całego układu ekonomicznego. To przekształcanie odbywa się wszelako ciągle i kto ma oczy, by widział, musi dostrzedz zmiany zachodzące w sferze produkcyi, tak są one rażące i tak szybko odbywają się w naszych czasach. Rodzi się tedy pytanie, w jaki sposób i o ile odbywają się przekształcenia w sferze handlu, a zwłaszcza handlu detalicznego.

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Lutter: *Von Kaufshandlung und Wucher*. 1524.

NA MARGINESIE.

Geniusz, czy temperament. Nie zawsze odczuwanie faktów historycznych może być miarą geniuszu. Goethe nie odczuł wielkiej Rewolucyi, Mickiewicz — przeciwnie. Cóż więc czynić mamy, gdy do obu poetów sięgniemy po zdanie o rewolucyi? Jeden (Goethe) odpowie, że był to ruch, który akurat tyle zniszczył ile przysporzył; drugi (Mickiewicz) rzuci dwa wiersze natchnione:

A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Te dwa wiersze cytuje p. Tadeusz Trzciński w swej pracy „Kosmozoficzne poglądy Mickiewicza“ (odbitka z *Ateneum*, 1901) i zaznacza, że Hipolit Taine nic takiego o rewolucyi francuskiej nie powiedział, czegoby nie wyraził Mickiewicz w swym wierszu do Lelewela. Ryzykowne to zestawienie wieszcza z badaczem łatwo może zmylić wyprawę do źródeł geniuszu Mickiewicza Poglądy na rewolucyę i wogóle na wypadki dziejowe, czyli zmysł historyczny nie był tem źródłem. Jeżeli zestawimy „Pana Tadeusza“ z wykładami paryskimi, odczujemy odrazu, co jest w Mickiewiczu dziełem geniuszu, a co — temperamentu Trudno twierdzić, że Mickiewicz był genialniejszym od Goethego, a przecież ten ostatni wypowiedział się o rewolucyi francuskiej jak obojętny ignorant. Jeżeli jednak Borne robi Goethemu wyrzuty za to, że podczas wielkich bojów mógł spokojnie robić badania anatomiczne, nie jest to krytyka geniuszu, lecz temperamentu, obywatelskości poety-ministra. Czyż więc podobną mierzyć oceną rewolucyi geniusz Mickiewicza? Temperament poety, który Europę obiegał, znacząc swemi stopami nieporównany poemat czynów poczętych w sercu, natura wierząca w cuda, gotowa zarazem cuda wykonywać, nie dotykała faktów historycznych organami geniuszu, lecz — temperamentu. Mickiewicz wcale się nie domyślił, czem była rewolucya francuska, gdyż miał on w sercu własną, i to, co miał, wypowiedział. Nie oceniał, lecz spowiadał się. Nie szukajmy więc ani u niego, ani u Goethego oświetlenia rewolucyi, oddajmy natomiast Taine'owi i innym, co im się słusznie należy. *T. U.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Istniejący obecnie cenzus stanowy dla wstępujących do służby państwowej cywilnej, zostaje według nowego projektu ustawodawczego zupełnie zniesiony i zastąpiony stopniem wykształcenia naukowego. Pierwszeństwo będą miały osoby z wyższem wykształceniem średniem, następnie posiadający świadectwa z ukończenia sześciu klas realnych lub gimnazyalnych, oraz ci którzy zdadzą egzamin według specyalnego programu.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu dla miast i okolic Łowicza, Kutna i Gostynina.

Szkoły. Zgodnie z ustawą o zakładach naukowych prywatnych, ministeryum postanowiło, że osoby utrzymujące takie szkoły powinny posiadać ustanowiony stopień wykształcenia i być dyrektorami tych zakładów, bez możności powierzania zarządu osobom obcym.

— Po przeniesieniu Instytutu weterynaryjnego na Pragę, program nauk będzie znacznie rozszerzony od nowego roku szkolnego Personel Instytutu oprócz niższej służby, składać się będzie z 40 osób, w tej liczbie 18 profesorów. Utrzymanie zakładu kosztować będzie około 100,000 rb. rocznie.

— Ministeryum oświaty postanowiło, że te osoby, które ukończyły uniwersytet ze stopniem rzeczywistego studenta i zajmują się dawaniem lekcyj w gimnazyach i progimnazyach żeńskich, nie posiadają z tego tytułu żadnych praw emerytalnych, jeżeli nie uzyskały prawa sprawowania obowiązków nauczyciela w gimnazyach i progimnazyach męskich, szkołach powiatowych i miejskich, lub też dyplomu nauczyciela prywatnego.

Prasa Ogłoszono następujący okólnik głównego zarządu do spraw prasowych: „W wydawnictwach peryodycznych nader często zarówno w dziale ogłoszeń, jak i w tekście pomieszczane są wezwania i odezwy do składania różnego rodzaju ofiar na korzyść osób pojedyńczych i rodzin, znajdujących się w położeniu krytycznem, lub też mieszkańców pewnych miejscowości, dotkniętych jakąkolwiek katastrofą, prywatnych i społecznych instytucyj itp. Z uwagi, że te wezwania do ofiar, bez względu na zamieszczanie ich w formie obszernych artykułów, są z samej natury swojej ogłoszeniami, minister spraw wewnętrznych, na mocy art. 41 ust. cenz. i prasowej, uznał za konieczne, ażeby na przyszłość wszelkie podobnego rodzaju wezwania i odezwy o składanie ofiar, bez względu na ich formę oraz klasyfikacyę do zamieszczenia ich w tekście gazety lub w dziale ogłoszeń, były składane uprzednio w cenzurze policyjnej z dokładnem wymienieniem osób i instytucyj, którym ofiary zebrane będą przesyłane. O powyższem główny zarząd do spraw prasowych podaje do wiadomości pp. wydawców i redaktorów wydawnictw peryodycznych w celu właściwego stosowania się do tych przepisów."

Służba wojskowa. Wychowańcy zakładów naukowych, starający się o udzielenie im dodatkowych odroczeń w odbywaniu służby wojskowej, obowiązani są na przyszłość składać prośby poświadczone przez władze naukowe, że kandydat zasługuje na uwzględnienie. Prócz tego w podaniu należy wymienić przyczyny, skutkiem których nastąpiło opóźnienie w ukończeniu zakładu naukowego. Ponieważ nie wszystkie urzędy poboru wojskowego jednakowo stosują przepisy o udzielaniu odroczeń, ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało w tym celu do wszystkich urzędów jednobrzmiące wyjaśnienia i zaleciło im stosować się do okólnika ministeryalnego z d. 11 października 1885 r.

Zjazdy. Międzynarodowy kongres fizyologów obradować będzie w Turynie we wrześniu, pod przewodnictwem dr. Mossa.

— Dnia 8 sierpnia odbędzie się w Berlinie (na przedmieściu Rixdorf) zlot Sokołów polskich z całej prowincyi brandeburskiej.

Komunikacye. *Prawit. Wiest.* ogłosił uchwałę Rady państwa, rozciągającą przepisy o używaniu broni przez służbę kolei Zakaspijskiej, na służbę konserwacyi i ruchu na kolei Władykaukaskiej w granicach obwodu Terskiego, z pozostawieniem ministrowi komunikacyj prawa określenia, które osoby należy w broń zaopatrzyć.

— Po przyłączeniu kolei Nadwiślańskiej do Terespolskiej, nadano im jedną nazwę, skutkiem czego zdarzały się pomyłki przy dostawie towarów. Z tej przyczyny stacye główne tych kolei otrzymają nazwy: Warszawa Kowelska i Warszawa Brzeska.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 20 Іюля 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.